JAN KASPROWICZ

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 33619

BC KSK / 33619

JAN KASPROWICZ

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA

ODBITO W KRAKOWIE W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO W R. 1902.

PHOTOGRAVURE UNIE.

Jan Kasprowicz

JAN KASPROWICZ

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA

POEZYE.

LWÓW, NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO.
WARSZAWA, E. WENDE I SPÓŁKA.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава 20 Февраля 1902.

PEDAGOGICZNA
Biblioteka Wojewódzka
w Białymstoku
33619
884-1

NA WZGÓRZU ŚMIERCI

Wzgórze Śmierci. Noc księżycowa, później świt i dzień i znowu noc.

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Świat cały drzemie —
Świat cały śpi...
Olbrzymie cienie kładą się na ziemię,
Nad którą księżyc świeci nieruchomy,
Jakby umarły...
Niebios ogromy
Ciężko się sparły
Na sennych, mrocznych pochyłościach globu.
O jakże smutno mi!
O jak mi tęskno, samotno i smutno!
Lucyferze! Lucyferze!
Drogi kochanku mój!
Z tobą wieczyste zawarłam przymierze —
Czy mnie opuszczasz? Na to sine płótno
Mojego lica rozlej barwy świeże —
Tchów ciepłych zdrój!
Luby wybrańcze mój,
Czemu nie spieszysz do swojej wybranej,
Do swojej duszy?...
Cicho... to nie ty! O kamienne łany
Uderza echo ludzkich stóp...
Kto śmie przychodzić na ten życia grób?
Kto ze śmiertelnych waży się w tej głuszy
Szeleścić włosem, rozwianym u czoła,
Trupiego wzgórza nieskłóconą ciszę
Zakłócać swoim oddechem?
Fałdami płaszcza rozbudzać dokoła
Zamęt w powietrzu jakiego nie słyszę
Nigdy w tem miejscu?... Ja się boję ludzi,
Bo ile razy kto z poddanych śmierci

Zajdzie mi drogę, przeklina wnet chwilę,
W której spełniony był grzech pierworodny
W Raju straconym...

SZYMON Z KYRENY.

Jesteśmy na wzgórzu —
Tu krzyż ten stanie.

ALETHEJ.

Me wnętrze się łudzi,
Że chociaż gotów już haniebny wyrok,
Krwią Niewinnego ludzkość się nie splami.

SZYMON Z KYRENY.

Ty, przyjacielu, jeśli jeszcze wierzysz,
Wątpiąc o wszystkiem, wierzysz, że nad wszystkiem
Jest przeznaczenie, któremu podlegał
Nawet twój Jowisz... Dla mnie, żydowina,
Inne pisano prawo, ale to ci mówię,
Że życie Jego upadło już z włoska,
Rano spoglądać będą nasze oczy,
Jeśli przed świtem nie zgasną z boleści,
Jak na to wzgórze motłoch Go przywiedzie —
I ten obdarty i ten co w szkarłatach:
Tak stać się musi... Przyczyna tej śmierci
Nie w dni dzisiejszych strasznem leży łonie...
Wyrokowano o niej przy pogrzebie
Ludzkiego szczęścia, przed wiekami, w Raju,
Gdy za poszeptem węża-kusiciela
Niewinna nagość, z drzewa świadomości
Zerwawszy owoc, zmieniła się w ciało,
Piękne, nęcące marmurami kształtów,
Świeżością barwy i wonią, co zmysły
Nasze tumani, ale w którem mieszka
Grzech...

GŁOS DUSZY WYGNANEJ Z RAJU.

Lucyferze!

ALETHEJ.

Słyszysz? coś tu woła.

SZYMON Z KYRENY.

Nie! to złudzenie... Do rana daleko...
Śpi jeszcze wokół cały świat, śpi jeszcze...
W sam czas się zbudzi, aby — spełnić zbrodnię.
Zresztą, zbyt od nas odległy ten motłoch,
Ażeby jego warczenie dotarło
Do tej wyżyny...

ALETHEJ.

Przysiągłbym, drogi, że o moje ucho
Jak gdyby dziwny jakiś szept uderzył,
Który me kości przebiegł dreszczem... Nieraz
Wstrząsa tak nami szelest zeschłych liści,
Opadających w jesieni...

SZYMON Z KYRENY.

To złuda.
Ogród oliwny daleko za nami...
Naokół cisza, jak przed wielką burzą;
Wiatr o konary nie trąca...
Bywa, gad jakiś w trawie się poruszy,
Lub ptak się spłoszy w krzewinie i wówczas
Człek zamyślony gotów się przerazić...
Lecz na tem wzgórzu martwe tylko głazy,
Ni źdźbła zieleni; nawet mech najmniejszy
Skał tych nie upstrzył; żmija niema żeru,
A z trupich czaszek, które tu spotykasz,

Uszło już dawno robactwo, wyssawszy
Wszystkie z nich soki.

ALETHEJ.

Może...

SZYMON Z KYRENY.

Czybyś wątpił
O tem, co widzisz własnemi oczyma?
Tak! tak! szczególni z was ludzie!... Wątpieniem
Wypędziliście już bogów z Olimpu,
A na ich miejscu stawiacie — wątpienie.

ALETHEJ.

Nie!... Do tej chwili czuję oddech głosu...
Jest tu ktoś trzeci między mną a tobą...
Znów...

GŁOS DUSZY WYGNANEJ Z RAJU.

Lucyferze! dla czego śród ludzi
Zostawiasz duszę, gdzie jej tak samotno
I tak jej smutno...?!

SZYMON Z KYRENY.

Prawdziwie... W powietrzu,
Cichem, miesięczną dyszącem zadumą,
Niby jęk zadrgał... Widać, niezupełnie
Gwar ucichł w mieście... Widać, wrzask motłochu
Na sowich skrzydłach dolatuje nawet
Do szczytów Śmierci... U bram Jeruzalem
Porozkładały się tłumy, przybyłe
Na święto Paschy... Pewnie wielbłądnicy
Strzegą swych zwierząt, by się nie rozbiegły...
A może miasto już przed świtem wstaje,

By się nie spóźnić w drogę na to wzgórze.
Tak... tak! ciekawość chodzi po zaułkach
I niecierpliwość, dwie siostry rodzone,
Dla których noc ta w tysiąc lat się zmienia —
Tak się nie mogą doczekać poranku:
Ofiar grzechu, ciężki na Golgotę
Krzyż dźwigająca, to dla nich igrzysko
Nad igrzyskami...

ALETHEJ.

Nędzny świat! Zaiste!
Dla filozofa, coby go chciał zbawić,
A, mając oko jaśniejsze od innych,
Spoglądać musi, jak się coraz bardziej
Wszystko rozpada pod grzybem podłości,
Najlepiej ciemię przyozdobić w róże,
Wychylić miarę cypryjskiego wina,
Objąć rękami obnażone uda
Ciepłej Laidy i potem w rozkosznem
Zapamiętaniu rozciąć sobie żyły.

SZYMON Z KYRENY.

Mądrość rozpaczy... Oto jakim jesteś —
Jakimi wszyscy jesteśmy, co w sercu
Mamy uczciwość, a nie mamy woli,
By tę uczciwość ubrać w stal i śmiało
Na bój wyruszyć... Ale ja ci mówię,
Że czas nadchodzi wielkich zmian. Nie będzie
Muzyką linij krągła Kallipygos
Przygłuszać mocy w szlachetnym człowieku,
Że zamiast walić żelaznym taranem
W przybytek grzechu, którego jest świadom
I który chciałby uprzątnąć ze świata,
Rzuca się w jego objęcia, pijany,

I czołem bijąc swej własnej słabości,
Ginie, choć prawo miał zostać zwycięzcą.
Wiesz, Aletheju: Któryś z waszych mędrców
Uczył, że wszystko jest z ognia... Nie umiem
Tego-ć wyłożyć, ale jedno widzę:
Że z ognistego krzaka znów przemawia
Bóg do nas, ludzi, i że od płomieni
Głosu bożego cały świat się pali,
Ażeby miejsca ustąpić lepszemu...
Stanąłem dzisiaj, zmieszawszy się z tłumem,
Na szarych stopniach, wiodących do kaźni
Synedrjonu... Przed bramą ciemnicy
Usadowili na błazeńskiem krześle
Jednego z nędznych i marnych, o którym
Nigdyby ludzki nie przypuścił rozum,
Że stać się może groźnym królów tronom,
Że może ręką, słabą, bladą ręką,
Tjary strącać z głów arcykapłanów,
Że na puch zetrze metal cielców złotych
I tak na cztery rozwieje go wiatry
Swym tchem, iż wszystek ślad od razu zginie
Kształtu i treści tych bożyszcz... Posłuchaj:
Pluli Mu w oczy, żelazną prawicą
Żołdak Mu ciężkie wymierzał policzki,
A na ciemiona stalowemi pręty
Tak z cierni zwity wtłaczali djadem,
Że Mu po twarzy krew strugami ciekła,
Na pierś spadając wklęsłą i na chwiejne,
Żałość budzące kolana i stopy.
Okryty błotem, krwią i plwocinami,
Siedział ten biedny syn cieśli, pokorny,
Prawie bezkształtny dla oka, jak kupa
Gliny, na której zaledwie zostały
Roztarte znaki rzeźbiarskiego palca.

A jednak czułem — może z przywidzenia
Udręczonego niepewnością mózgu,
Co będzie z światem i co będzie z nami,
Jeśli to wszystko, co z śmiechem szyderczym
Czelnie istocie człowieczeństwa przeczy,
Bezmiernym pływać będzie lewiatanem
Po niezmierzonym oceanie życia
Na hańbę niebios i ziemi: być może —,
Lecz obojętnem jest to mnie i tobie,
Skąd i dla czego? — dosyć ci, że czułem,
Iż w tym Człowieku jest nie łotr, lecz zbawca,
Iż On tym krzakiem ognistym, iż płomień,
Który Zeń idzie, towarzysząc głosom
Bożej wszechmocy, wypełnia ogromy
I przez stulecia sięga swym językiem...
Czułem, że prawdą były Jego słowa
O rozwalonej świątyni i przezeń
Pobudowanej na nowo... Posłuchaj:
Czułem, że motłoch, który Mu urągał
Nie dziś, to jutro, nie jutro, to kiedyś
Upadnie przed Nim, tak, jak ja o mało
Że nie upadłem w obliczu siepaczy
Kaifaszowych przed uroczną mocą,
Co z pod przymkniętej biła mu powieki.
Czułem, iż On to usunie ten przedział
Co w dłoń Kaina wcisnął miecz na Abla,
Że On do Raju otworzy znów drogę
Wypędzonemu Adamowi... Czułem,
Że przepowiednią On jest i pragnieniem,
Nieugaszonym żarem i tęsknotą
I snem i jawą ludzkiego dążenia,
Co nieustannie, z wiedzą i bezwiednie,
Zwraca swe oczy ku skrytym, zawartym,
Przez Cherubina żarliwie strzeżonym

Utraconego polanom Ogrodu...
Umrze, bo — musi!.. Śmierć zwycięzcą śmierci.
Nad Adamową wzniesie się mogiłą
Krzyż, znamię hańby, co się w chwałę zmienia,
Krzyż, znamię śmierci, co się zmienia w życie...
W tem miejscu grób jest pierwszego człowieka,
Grób, który odtąd przestaje być grobem...

ALETHEJ.

Bracie Szymonie! podaj dłoń! spojrz w oczy
Swemu druhowi i powiedz: tyś moim,
Jak ja ci powiem, żem jest twój... Miodowy
Słów twoich posmak. Niema tej harmonji
Ani w przegięciach boskiego Apolla,
Gdy z łukiem czyha napiętym, ni w białych,
W twardym, a jednak przemiękkim marmurze
Wykutych kształtach naszej Kallipygi.
Zmarły już bóstwa na naszym Olimpie,
Brzegi Peneju już się dziś nie roją
Zróżowionemi postaciami najad,
W lasach Dyana nie wyprawia harców,
Zostały tylko rzeźbione kamienie,
Które do Rzymu uwozi zwycięzki
Złodziej i zbójca... Tak! Prawda! Wątpieniem
Postrącaliśmy swoich dawnych bogów,
By na ich miejsce postawić — wątpienie.
Ono dziś berłem potrząsa nad światem,
A takie jego dzisiaj królowanie,
Że świat ten z karbów już wyszedł: nie wiedzieć,
Jak i którędy i dokąd? Ślepota
Cel zasłoniła przed oczami ludzi,
Chromość im weszła w kolana i stopy,
Że kroku naprzód ustąpić nie mogą.
Nawet błagalnych rąk już nie podniosą,

Bo ich ramiona dotknęła bezwładność...
A zresztą — poco i do kogo? W górze,
Jak i na dole głucha śmierć... Śmierć, mówisz,
Zwycięzcą śmierci? Nie rozumiem tego,
Bo mnie się zdaje, że tylko słoneczne
I pełne życie może iść ze skutkiem
W zapasy z śmiercią... Nie rozumiem także,
Choć i mnie gnało na szczyt tego wzgórza,
Skądże tak prosty, skąd tak zwykły człowiek
Miałby posiadać boską moc przemiany.
Prześladowanie oraz skon męczeński
Czar wywierają na dusze szlachetnych...
Chociaż przyznaję, że im bliższą chwila,
W której, jak łotra, przypną go do krzyża,
Tem coraz większy i mnie lęk ogarnia,
Jakbym miał skonać z nim razem... A może
I to jest złuda... Wątpienie tak moje
Przeżarło kości, że chyba już nigdzie
Nie znajdę kuli, o którąbym wsparty
Mógł przejść przez życie bez szwanku...
Dziś wątpię,
Czy me współczucie i mój lęk są prawdą.
Dla człeka złem jest największem wątpienie.

SZYMON Z KYRENY.

Wątpienie zniknie z ziemi...

GŁOS DUSZY WYGNANEJ Z RAJU.

Lucyferze!

ALETHEJ.

Dziwnie... w tej chwili znów mnie strach ogarnął.

SZYMON Z KYRENY.

Trąciłeś nogą jakąś czaszkę.

ALETHEJ.

Czaszkę?
Nigdym się nie bał kawałka skorupy,
Zlepionej z gliny. Rażą mnie jedynie
Brzydota pustych jam ocznych i szczerby
W pożółkłej szczęce; wstrętem mnie napełnia
Zapach zgnilizny, która szwy rozsadza
Słabej pokrywy człowieczego mózgu...
W tem coś innego: doznaję uczucia,
Jakby w tej chwili przejmował mą duszę
Głęboki przestrach ginącego świata...
Powiedz mi, bracie: Co nas tu przywiodło?

SZYMON Z KYRENY.

Nie wiem... Wistocie sam się teraz dziwię,
Pocośmy przyszli na ten szczyt... w tej porze...
Pełni byliśmy rozmowy o śmierci
Tego Człowieka i zanim się spostrzegł
Rozum, już nogi wyprzedziły szybkość
Zastanowienia... Jest prawda w tych słowach:
Prześladowanie oraz skon męczeński
Czar wywierają na dusze... Golgota
Niezrozumiałą ma potęgę... Krzyża
Nie ustawili jeszcze dla jednego,
A na jej wzgórzu już siada bezwiednie
I nieświadoma swej tragicznej siły
Smętna tęsknica innych dusz... Golgota
Jest, widzisz, grobem pierwszego człowieka
I będzie grobem ostatniego...

ALETHEJ.

Strasznem
Dla nas wątpienie... Ale nie straszniejszą-ż

Ta jedna pewność, jeśli — jest pewnością?...
Według twej wiary było na początku
Jedynie życie, lecz śmierci nie było.
Przyszła dopiero wówczas, kiedy w tamtem
Powstała żądza poznania, co dobre,
A zaś co złe jest... Miecz to sprawiedliwy,
Który swym ostrzem płomiennym wypędził
Z Raju to życie! —

GŁOS DUSZY WYGNANEJ Z RAJU.

Gdzieżeś, Lucyferze?
Cierpię! Gdzie jesteś? Jęków mych nie słyszysz?
Bezwładna jestem —

ALETHEJ.

Można przekląć chwilę
Tej świadomości! Przez nią dziś umiera
Niegodną śmiercią ów Człowiek. A słuchaj:
Gdyby to jeszcze można kosztem śmierci
Posiąść tę wielką, upragnioną pewność,
Że to, co dla nas dobrem się wydaje,
Jest niem naprawdę, a nie złem... Ohydnym
Stał się los świata przez ów grzech, spełniony
W Raju —

GŁOS DUSZY WYGNANEJ Z RAJU.

Gdzież jesteś, jasny Lucyferze?
Nieprzemożoną masz władzę nademną —
Nad twoją duszą,
Nad twoją biedną i wygnaną duszą!
Ona bez twego skinienia,
Bez światła ócz twych, bez dźwięku twych szeptów
Staje się niemą, ślepą, nieruchomą...
A jeśli mówi, to na to, by jęczeć,

PEDAGOGICZNA Biblioteka Wojewódzka w Białymstoku

A jeśli widzi, to na to, by błądzić,
Jeśli się ruszy, to na to, by padać...
Ognistym mieczem znów mnie anioł smaga,
A mnie się zdaje, że to z twojej ręki
Te krwawe razy... Ach! gdzie jesteś?

GŁOS Z DALA.

Idę!...

ALETHEJ.

Chodźmy... na tchórza zmienia mnie ta góra...
A ten twój rabi — posiada on pewność,
Że dobrem jest to, za co tak haniebną
Ma zginąć śmiercią?

SZYMON Z KYRENY.

Posiada.

ALETHEJ.

Odpowiedz:
A ty masz pewność?

SZYMON Z KYRENY.

Mam —

LUCYFER.

Jestem!

SZYMON Z KYRENY.

To znaczy —
Tak mi się zdaje... Jeszcze przed chwileczką
Byłbym był przysiągł... a teraz... ja nie wiem...
Chodźmy... ty wątpisz... i twoje wątpienie
Wzrok mi przesłania na wieczystą prawdę...

A może... widzisz... człek jest zawsze tchórzem...
Najodważniejszy jest tchórzem... Golgota —
Ukrzyżowanie, które ma się spełnić...
O tak... Golgota jest niezrozumiałą...
Ciągnie... i widzisz, człek wie, że to dobre,
Za co chce umrzeć, a gdy jest na szczycie,
To, by nie umrzeć, powiada: nie warto —
Bo nie wiadomo, ażali jest dobre...
Lecz człek wie... drogi przyjacielu... idźmy...
Podaj mi ramię... widzisz, silny byłem,
A jestem słaby...

ALETHEJ.

Chcesz się na wątpieniu
Oprzeć, mój druhu?...

SZYMON Z KYRENY.

Nie! człek wie, mój druhu,
Że to jest dobre... A może on nie wie?...

ALETHEJ.

Dla człeka złem jest największem wątpienie:
Najodważniejszych na tchórzów przemienia,
A tak znienacka przychodzi i z chwilą,
Gdy go się najmniej spodziewasz... W powietrzu
Pełno jest tego wątpienia... Nieznane
I niewidzialne przywołują moce
Ono wątpienie ku tobie — a głosem,
Który, choć ludzkie nie słyszy go ucho,
Napełnia lękiem twe wnętrze... Najstraszniej,
Gdy masz świadomość tej niszczącej siły,
A nie masz władzy, by ją zgnieść, boś zwątpił
O możliwości tej władzy...

LUCYFER.

Tak idźcie!
Idźcie naprzeciw: brzask już niedaleki,
Brzask, który dla was gorszy jest od nocy.
Wasi ojcowie, wasze matki, siostry
I wasi bracia wstają już z legowisk,
Ażeby w porę stanąć do szeregu,
Co na to miejsce Go przywiedzie.... Patrzaj:
Mieli odwagę wejść na wzgórze śmierci,
Lecz schodzą z niego bez odwagi... Duszo!
Jeden z nich moim, drugi nim się staje
I będzie moim, tak jak ty, o duszo,
Na wieki wieków jesteś moją...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Luby,
Najdroższy, słodki, wierny Lucyferze,
Wierną masz we mnie kochankę! Przez ciebie
Czuję dopiero, że jestem!... Przy tobie
Czuję, że światło dane jest mym oczom
I że ruchomość dana jest mym stopom,
Że moc jest dana mojemu głosowi,
By się rozdzielał na dźwięki wyrazów
I aby dźwięki te łączył w harmonię
Wielkiego hymnu: Kocham cię na wieki!

LUCYFER.

Duszo!

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Tysiącem lat niewysłowienie
Strasznych męczarni zdała mi się chwila —
Ta jedna chwila, kiedy me wołania

Bez echa brzmiały w miesięcznym okręgu,
Budząc li przestrach u ludzi... Tysiącem
Długich, tak długich lat, że snać wiecznością
Był mi rok każdy, wydała się chwila,
Ta jedna chwila, gdzie zbrakło ramienia,
Abym się mogła na niem oprzeć, biedna
I nieświadoma, na jaką ścieżynę
Skierować kroki i — nie paść... Tysiącem
Długich, tak długich lat, że lat tych długość
Tysiąc-by razy opasała wszechświat,
Łącząc księżyce wszystkie, wszystkie słońca,
Wszystkich tych globów lśniące miryady,
Wydała mi się ta chwila, ta jedna
Jedyna chwila, gdy mi ust zabrakło,
Do których teraz przyciskam swe wargi...
Piję z nich napój rozkoszy, jedyny,
Żywotność prawdy mający w swych kroplach,
Wonny, przesłodki ten napój!... Tysiącem
Długich, tak długich lat, że w porównanie
Mogłaby z nimi pójść jedynie krótkość
Nieprzeliczonych tysiącleci szczęścia,
Które w objęciach twoich, o mój luby,
Najdroższy, słodki, wierny Lucyferze,
Znikomą tylko wydaje się chwilą...
Niedobry, płochy kochanku! dla czego
Tak opuściłeś swą duszę?... Tak! całuj!
Pieść! pieść! Nad dreszcz ten nie ma nic słodszego!
W nim zapomnienie — w tym dreszczu najsłodszym,—
Że przez nas poszedł lęk pomiędzy ludzi,
Ach! złorzeczących twej duszy!... Pieść! całuj
I nie opuszczaj duszy, wiecznie twojej!
Pieść!... pieść!... tak!... całuj!... Niech po moich biodrach
Spływa ta ręka!... Niech na mojej piersi
Spoczywa róża twoich ust, od ogni

Nienasyconej miłości czerwona,
Niewyczerpanej słodyczy wilgotną
Rosą zroszona, rozchylona róża...
Luby, najdroższy, słodki Lucyferze!
Nie było ciebie i lęk przyszedł na mnie,
Tak, lęk — śmiertelnych... Dlaczego-ś niedobry,
Płochy kochanku, zostawił na pastwę
Lęku twą duszę? lęku, który zdał się
Trwać tysiąclecia?

LUCYFER.

Byłem z Nim... W ciemnicy,
W którą wtrącono tysiąclecia....

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Z kimże?

LUCYFER.

Z Tym, co ma zginąć na tem wzgórzu... Myśli,
Że świat wybawi od lęku. Demonem
Zbrodni mnie nazwał, siebie synem bożym...
Mówił, że moją wydrze mi kochankę,
Mą lubą, drogą, moją wierną duszę —
Przez śmierć ją wydrze...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Nigdy! nigdy! nigdy!

LUCYFER.

Duszo, czy wierzysz we mnie?

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Wierzę.

LUCYFER.

Słuchaj:
Do boju ze mną stanął znowu Tamten —

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Który mnie kazał aniołowi swemu
Wypędzić z Raju —

LUCYFER.

A mnie zamknął wrota
Swojego nieba, gdy świadom swej siły,
Nie chciałem sługą być u Jego tronu,
A tylko równy panować przy równym...
I cóż? czy zniszczył swojego rywala
Nie! nie! zdarł z niego tylko suknię białą
Swoich pokornych aniołów; w jej miejscu
Krwawi się na mnie ciemnopurpurowy
Płaszcz, godło władzy królewskiej. Z płomiennem
Berłem pochodni w męskiej, twardej dłoni
Przebiegam odtąd cały krąg i w serca
Ludzi wybranych wlewam światłość swoją,
Iżby nie byli stadem wobec Niego
I nie wierzyli w Jego moc, co mocy
Nie miała tyle, by zgnieść przeciwnika,
By mu odebrać nieśmiertelność... „Jestem"!
Mówię do ludzi wybranych: „Patrzajcie,
Jakim jest świat ten, który Jego wszechmoc,
Sławiona przez was, stworzyła!" A jeśli
Powie z nich który: „Dobrym, doskonałym
W formie i treści był ten świat, gdy wyszedł
Z rąk Jego twórczych, a tylko przez grzech twój
Stał się nikczemnym, kruchym i bezkształtnym",
Wnet mu odkrzyknę: „Czemu Ten wszechmocny,
Ten wszechrozumny, wszechwiedny, wszechdobry

Do tego grzechu dopuścił?“ Tem jednem
Zmiatam pytaniem budowę ich wiary.
A gdy się znajdą ludzie między nimi,
Którzy w Tamtego wierzą przyrzeczenia,
Że trzeba śmierci najlepszych, by zbawić
Świat ten od śmierci, między czerń ich wiodę
I każę patrzeć, jak mrą ci najlepsi,
I tak powiadam: „Tylu ich umarło,
A spojrzcie tylko na ten tłum, ulepion
Ręką Tamtego!“... I odtąd
W ich ciemnem, smutnem, łzą zalanem wnętrzu
Rozpoczyna się moje królowanie:
Wielki ogarnia ich niepokój... „Jakto?
Więc niema szczęścia?“ pytają z rozpaczą;
„Niema zbawienia? Niema już spokoju?“
„Jest“ wnet odszepnę... „Jest we mnie, jest w wierze,
Iż tak zostanie do końca, iż wszystko
Do końca zostać tak musi... Jest szczęście
W tej z owej wiary urodzonej wiedzy,
Że człek ma tylko do wyboru jedno:
Ukochać rozkosz, która wypłynęła
Z tego, co Tamten kazał nazwać grzechem...
A gdy nastąpi przesyt wyczerpania,
Tak im powiadam: „Ze mnie idzie rozkosz,
Która jest wszystkiem wszystkiego na świecie!
Tamtego wińcie! On was tak ulepił,
Że nie możecie zażywać do końca
Mojej rozkoszy, co się stała dla was
Wszystkiem wszystkiego!“... I złorzeczą.

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Straszny-ś!

LUCYFER.

Duszo, w uściskach moich niema szczęścia?

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

O luby, słodki, drogi Lucyferze!

LUCYFER.

I Tamten, gniewny, że Mu świat wydarłem,
Wszczął ze mną walkę na nowo; obudził
Jednego z dobrych i rzekł: Synu boży:
Umrzyj, byś zbawił duszę, którą Szatan
Więzi przy sobie.

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Drogi mój kochanku!

LUCYFER.

O duszo moja: wierzysz we mnie?

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Wierzę.

LUCYFER.

Byłem u niego w kaźni, w ciemnej kaźni,
W którą wtrącono tysiąclecia... „Tamten
W pomrok cię wtrącił!“ powiadam.

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Uwierzył?

LUCYFER.

Na szczyt olbrzymi wziąłem jego ducha;
„Spojrz“! tak wyrzeknę — „wszystkie te królestwa
Rzucę-ć pod nogi, wszystkie te bogactwa,
Które są matką i ojcem rozkoszy,
Tylko się ukorz przedemną! ulegnij!

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Uległ?... czy uległ?... Powiedz, Lucyferze,
Czy On mocniejszy od ciebie?...

LUCYFER.

„Na krzyżu
Niech giną łotry! ja cię na królewskim
Posadzę tronie... tam miejsce dla ciebie!
Twej strasznej śmierci czerń ta nie jest godną...
Tamten jest słabszy odemnie... Twa boleść,
Twoje męczeństwo nie zbawi“...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Usłuchał?

LUCYFER.

Idzie umierać... Patrzaj... Tłum już mętną
Wylał się falą z bram Jeruzalemu...
Świt już nad nami, a On między tłumem
Kroczy wgłąb mroków... Chodź naprzeciw niego,
Zmieszaj się z czernią...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

A więc On się oparł
Twojej potędze?...

LUCYFER.

W Ogrodzie Oliwnym
Prosił Tamtego, ażeby mu odjął
Kielich goryczy, ale potem, cichy,
Wypił go do dna...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Kielicha rozkoszy
Z rąk twych nie przyjął? On jeden... On jeden...
I idzie konać cichy i spokojny...
Idzie umierać, aby świat wybawić
Od tego lęku, który powstał z grzechu,
A który czułam przed chwilą... Ty lękiem
Więzisz przy sobie mnie, duszę... W rozkoszy
Z tobą lęk tylko przycicha, nie ginie — — —

TŁUM.

Ehej! ehej — —

CHÓR PATRYOTÓW.

Miriam w bęben uderzyła,
Izraelski skacz narodzie — — —

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

On lęk chce wygnać z okręgu... On idzie
Umierać za mnie... On ma wiarę...

LUCYFER.

Duszo! —

CHÓR NIERZĄDNIC.

W Baalchazor stado lwów
Hej wywlokło z legowiska
Jedną lwicę! hej!...
Ogień w ślepiach im się jarzy,
Sierść podnosi się na krzyżach
I falują tłuste boki:
Śmiech rozpiera dwie boginie
Afrodis i Astoreth — — —

ŚMIECH Z TŁUMU.

Hahahahaha! — —

CHÓR NIERZĄDNIC.

Hej, za łono się chwytają
Rozbawione dwie boginie —
Afrodis i Astoreth!
W nagie uda głośno klaszczą,
Po kolanach biją dłonią,
Aż im grzbiet się w kabłąk gnie,
Lub wypręża, niby struna...
Nie wytrzyma jedna lwica
Jurnej mocy stada lwów! — —

GŁOS Z TŁUMU.

Hahahahaha! Salomon nie stworzył
Piękniejszej pieśni... Hahahahaha! —

CHÓR NIERZĄDNIC.

Oczy bielmem jej zachodzą,
Na kłach wargi już stężały,
Żar rozkoszy uszedł precz...
Śmiech rozpiera dwie boginie
Afrodis i Astoreth;
Pijmy! pijmy! pijmy!
Tańczmy i śpiewajmy!
Hu! ha!...

JEDNA Z NIERZĄDNIC.

Nie jedno stado, ale pięć wytrzymam —
Pięć po dwadzieścia... uciechę mieć będą
Afrodis i Astoreth...

INNA NIERZĄDNICA.

Achitofelu! widziałeś piękniejszą?
Takie ramiona?? taką pierś?? — — —

Precz, szmato!
Osłaniająca przed okiem kochanka
Alabastrową boskość tego biodra!
Droższy mi kupi jedwab Achitofel,
Żywszą to ciało odzieje purpurą,
Gdy swą lubieżność do syta nakarmi
Jego widokiem, gdy się oszołomi
Do syta jego zapachem...

GŁOS Z TŁUMU.

Ahola!
Najcudowniejsza z — ulicznic!... Patrzajcie,
Naga stanęła przed nami!...

INNY GŁOS.

Od Rzymian
Nauczyła się bachanckich podrygów...
Evoe Bacche! Evoe!... Ahola,
A gdzież twa siostra Aholiba?

AHOLA.

Zdechła!
Nie wytrzymała stada lwów... Śmieją się
Afrodis i Astoreth!

ACHITOFEL.

A ty za ile się pośmiejesz?

AHOLA.

Bratku!
Wylicz trzydzieści srebrników... Za dużo?

Bogów sprzedają dziś za taką cenę —
A czem bóg taki wobec mnie?

INNA Z NIERZĄDNIC, CHAMUTAL.

Ej, rabi!
Nie miałeś złota, masz błoto!

JEDEN Z ŻYDÓW.

Chamutal!
Córko proroka, mówię-ć, nie pluj w studnię,
Z której ci czerpać przychodzi!...

CHAMUTAL.

Z tej studni?
Nigdy na sobie całej sukni nie miał,
A chciał zjeść chleba, musiał iść na żebry...
Zresztą: spojrz tylko na Niego! gdzież taki
Może być studnią?... I na śmierć się wlecze...
Na zawsze dla nas stracony — choć prawda,
Czysty był zawsze, jak woda Jordanu — — —

AHOLA.

Achitofelu!...

GŁOS Z JEDNEJ Z DALSZYCH GRUP.

Łapać rzezimieszka!
Ręką mi sięgnął do sakwy... Krzyż jeszcze
Czwarty postawić... O tam, zginął w tłumie...
Moje pieniądze!...

STRAGANIARZE.

Galban! nard! z Arabii
Drogie wonności! — — —

ACHITOFEL.

Trzydzieści srebrników?

AHOLA.

I krużę wina dla dodania ognia
I krużę wina, aby moc wróciła...
Rozkosz, wiesz o tem, pożera nam jędrność,
Wysusza ciało — trzeba je odświeżać.

ACHITOFEL.

Drogo się ważysz...

AHOLA.

E! czyż mam być lichsza
Od tego chłystka, który się powiesił,
Wziąwszy trzydzieści srebrników?... Sznur pereł
Dasz mi, by jego opalowa białość
Śćmiła na szyi czerwoność całunków
I ślad twych zębów lubieżnych... Kochany,
Słodki, jedyny, drogi, czarujący,
Przemożny, szczodry, boski ulubieńcze
Boskiej Astarty, z tobą mi umierać —
Nie! żyć noc całą w objęciach...

ACHITOFEL.

Kosztowny,
Bardzo kosztowny to nocleg...

AHOLA.

Co? idziesz?
Może chcesz uwieść swą rodzoną siostrę?
Pełno dziś Tamar i Amnonów... Skąpiec!
Woli swe ziarno, z którego mógł drugi

Wyrosnąć Mojżesz i naród z niewoli
Wywieść egipskiej, rzucić Molochowi...
Wiesz, że Onana pożarł ogień żywy!

STRAGANIARZE.

Świeże daktyle! świeże! świeże figi!

AHOLA.

Z tobą, Eljaba, będzie tańszy handel.

ELJABA.

Madjanita jestem, ty żydówka...
Zakon...

AHOLA.

Dziś nie ma zakonu... Moabczyk
Czy Amorejczyk, Filistyn czy kupiec
Z Tyru to jedno... Greczyn czy Rzymianin
To wszystko jedno... byle dobrze płacił...
Ezechielów już nie ma... Prorocy
Czasów dzisiejszych sami swoje córki
Na targ prowadzą... A więc dziś wieczorem...

ELJABA.

Gdzie?

AHOLA.

Pod Syonem na prawo... Trzy kroki
Od głównej bramy, wiodącej do wnętrza
Salomonowej świątyni... Zadatek?

ELJABA.

Masz go!...

AHOLA.

Hu! heach! śmieją się boginie —
Afrodis i Astoreth! — — —

JEDEN Z HANDLARZY.

Tak Jazyjelu! mówię, żeś oszukał
Mnie przyjaciela swojego...

DRUGI HANDLARZ.

Oszukał?
Niech ja się trądem obsypię w tej chwili,
Jeślim ja ciebie oszukał... Ty złodziej!
Wart był twój towar — niech mnie Pan Bóg skarze —
Pół worka miedzi...
Ten rabi powrozem
Wygnał mnie, Ezrę, z przedsionka kościoła,
Kiedym miał zrobić interes... Ty szachraj,
Ty chcesz mi zepsuć interes — na ciebie
Nie ma powroza — — —

PIERWSZY HANDLARZ.

A niech mnie pokręci!
Niech moją babkę, mą żonę, me dzieci
I moje wnuki i wnuki mych wnuków
Wielka choroba nawiedzi!...
Co jest?... mój towar? mój towar jest taki,
Jakiego oczy twoje — niech oślepną,
Niech one słońca nie widzą, niech żołdak
Króla Heroda napluje w twe oczy,
Jak patrz! tam pluje w oczy tego rabi —
Niech twoje oczy zgasną na tym krzyżu,
Który On dźwiga, jeśli twoje oczy
Widziały kiedy taki towar... Słuchaj —
Ty złodziej! — Słuchaj: u mnie jest niedużo
Tego towaru — — —

GŁOS Z TŁUMU.

Uryja! Uryja!
Pocoś tu przyszedł?... Marne widowisko!

Idź! idź! strzeż swego ogrodu! U progu
Wąż tam przykucnął, gotów skusić Ewę!

JEDEN Z ŻYDÓW.

Kto ci dał prawo podglądać pod płoty
Mego zwierzyńca?... Pilnuj własnej bramy,
Jeżeli jeszcze zda ci się pilnować —
Wszakże otwarta na oścież... Wiadomo,
Że wchodzi do niej całe Jeruzalem...

DRUGI ŻYD.

Ty mnie obraził!... Jutro mi odpowiesz
Tam! przed Piłatem...

TRZECI ŻYD.

I! i! dajcie spokój...
Niema już prawa na tej judzkiej ziemi,
Odkąd Piłaty myją sobie ręce...

DRUGI ŻYD.

O, prawda, prawda, wielka, święta prawda — — —
Nie pójdziem bronić czci przed trybunały,
A na kułaki szkoda naszych grzbietów —
Dla twego — proga i dla mojej — bramy...
On tylko, widzisz, ma tę wytrzymałość:
Pod kułakami, patrz! znowu upada — — —
A wstań-że, wstańże, judzki królu! wstańże,
Synu Dawidów! Podnieść go!...
We troje
Sznury zwijają...
Smagaj go!... Jest jeszcze
Białość na plecach... Na włos, na pół włosa!
Smagaj, niech krew je zaleje do reszty,
A ja — umywam ręce!... Haha! haha! — — —

CHÓR PATRYOTÓW.

Mirjam w bęben uderzyła,
Izraelski skacz narodzie!
Faraona zbrojna siła —
Koń i jezdny — w gorzkiej wodzie:
Wroga naszych Ojców, Boże!
Pochłonęło wielkie morze...

Mirjam w bęben niech uderzy,
Niech do tańca naród stanie!
Na libańskiej dziś rubieży
Każesz rosnąć cedrom, Panie:
Krzyż dla zdrajcy z tego drzewa!
Tańcz narodzie, Mirjam śpiewa — — —

STRAGANIARZE.

Przędze sydońskie! Kosztowne obiodrza!
Naramiennice!...
Handel! handel! handel!

LUCYFER.

Przytul się, duszo!...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

To grzech pierworodny
Takiem szaleństwem dotknął ludzi... Zgroza!
Gdzież jest zbawienie?...

LUCYFER.

We mnie... Drżysz?... Odejdźmy...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Nie! nie! Za grzech ów niech do dna wychylę
Kielich goryczy...

LUCYFER.

Tak, jak On w Oliwnym
Pił go Ogrodzie?!... Odwrócę od ciebie
Ten znak upadku rozumu i woli...
Kto nie chce pić go, nie pije... Czyż warto
Dla takiej tłuszczy... Przytul się, ma duszo!

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Zimnyś!...

LUCYFER.

Me zimno jest ciepłem.

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Nie! kłamiesz!
Od Niego, czuję, idzie ciepło...

LUCYFER.

Duszo!
Czyż zimnem było me ciepło, gdyś w Raju
Mdlała z rozkoszy przy boku kochanka,
Kiedy tą ręką odsłaniał twym oczom
Urodę twojej nagości?... Pamiętasz?
Wdzięczna, że bogów dałem ci świadomość
Piękna i dobra i prawdy, pieściłaś
Oczy twojego anioła!... Pamiętasz?
Wargi rozwarte, płomienne, błyszczące,
Lepkie od płynu miłosnej słodyczy,
Do jego drżącej przykładałaś wargi
I przytulając swe biało-różowe,
A jak pierś globów harmonijne członki
Do jego ciała, które dreszcz przebiegał —
Dreszcz nad dreszczami — szeptałaś poszeptem

Drzew i strumieni: „O piękny! o dobry!
O mój wieczysty! o mój nieskończony!
O mój prawdziwy!... Przez ciebie wiem dzisiaj
To, co jest wiedzą; przez ciebie poznałam
Co jest poznaniem: że piękno w tych liniach
I tych przegięciach, w tej pełni i barwie
Mojego ciała, a dobro i prawda
W najrozkoszniejszym spoczynku przy tobie!“
Pamiętasz?... słońce zachodziło wówczas —

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Dla mnie!... Obmierzły mi uściski twoje!

LUCYFER.

Duszo! Tamtego wiń, że tworząc ciebie,
Wlał w twoją krużę zaczątek przesytu...
Że nasza miłość, nasza wielka miłość —

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Przed chwiląś widział, czem się miłość staje
Dzięki grzechowi naszemu: kałużą
Bezecnych targów, w której człek się wala
Jak zwierz... O, pięknem i dobrem On tylko!
On tylko prawdą! On tylko miłością —
Czystą i świętą!... Patrz! śród orgii życia
Idzie ta Prawda, Dobro, Piękno, Miłość
Cicho, pokornie, w wzgardzie, w pośmiewisku, —
Dla mnie tak idzie! dla mnie i przezemnie!
O Lucyferze zdradziecki! O kłamco,
Któryś przez wieki kłamał!...

LUCYFER.

Duszo! duszo!
Nie wierzysz we mnie?

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Nie wierzę!... nie wierzę!

LUCYFER.

Na pastwę tłumu cię zostawiam! — — —

GŁOS Z TŁUMU.

Puśćcie! — — —

CHÓR PATRYOTÓW.

Mirjam w bęben uderzyła,
Na Libanie cedrę ścięto,
Wyciosano krzyż — — —

CHÓR NIERZĄDNIC.

Śmieją się
Afrodis i Astoreth!...

GŁOS Z TŁUMU.

Puśćcie!

DRUGI GŁOS.

Zatrzymać tam falę! ścisk taki,
Że się podusim...

TRZECI GŁOS.

Dziecko mi zgnieciecie!...

PIERWSZY GŁOS Z TŁUMU.

Puśćcie! — — —

JEDEN Z ŻYDÓW.

Niewiasto! gdzie się pchasz?

NIEWIASTA.

Do Niego!...
On to ze ziemi mnie podniósł, przy uczcie
Siedząc z możnymi u Faryzeusza!
On mi na włosy położył Swą rękę,
On mi łzy otarł, On mi rzekł: „Niewiasto!
Odejdź w spokoju! Pan z tobą!“ — gdy tamci
Jawnogrzesznicą mnie lżyli... O Święty!

JEDEN Z ŻYDÓW.

Któż to jest? Powiedz!

INNY ŻYD.

Niewiasta!... A stój-że!
Stój-że, szalona dziewczyno! Śmierć pewna
Dla Jego uczni i Jego przyjaciół:
Zdrajca cesarza i swego plemienia!
Nie żal ci twojej urody? Tych pięknych
Nie żal bisiorow? tych pereł, tych drogich,
Widzę, kamieni, któremi swe włosy
Poprzeplatałaś, któremi ta szyja
I te ramiona obsypane?

NIEWIASTA.

Macie!
Bierzcie to wszystko!... On mojem bogactwem,
Choć sam tak biedny, że płakać-by nad Nim
Można przez wieki i jeszcze za mało
Łez, by opłakać tę jego niedolę...
Znowu upada... O, wielki mocarzu!
Podniosłeś z ziemi taki ciężar grzechu —
W Faryzeusza domu mnie podniosłeś,
A teraz nie masz już siły, by krzyż ten

Ku swoim katom odwrócić i zmiażdżyć
Ten — ród człowieczy!...

SZYMON Z KYRENY.

Maryo! Powstań z ziemi!

NIEWIASTA.

To ty, Szymonie?

SZYMON Z KYRENY.

Jeśli-ć życie drogie,
Milcz! wstań!

NIEWIASTA.

Nie kocham już życia! Czem życie?
Niczem jest życie, kiedy Takich wiodą
Na śmierć haniebną... Czyż niema człowieka
Coby mu pomógł dźwigać krzyż?

SZYMON Z KYRENY.

Niewiasto!
Ja mu pomogę... Drogi przyjacielu,
Weź ją pod swoją opiekę... Jej trzeba
Żyć, a nie ginąć... W jej sercu jest wiara,
Którą ma Tamten...

NIEWIASTA.

A ty się nie boisz?

SZYMON Z KYRENY.

Żydowin jestem, ale obywatel
Rzymski — — —

ALETHEJ.

Szymonie, a czy On nie wątpi?

SZYMON Z KYRENY.

Patrz! wstał z upadku, zwrócił się ku tłumom
I błogosławi.

ON.

O ludu mój! ludu!

SZYMON Z KYRENY.

Szedłem za Tobą! Daj mi krzyż Swój dźwigać.

ON.

Wytrwasz?

JEDEN Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Z Kyreny Szymon, magnat wielki,
Wziął szubienicę na swe barki.

DRUGI Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Modą
Dziś u paniczów bratać się z łotrami..
Bisior i jedwab już im się opatrzył,
Z nudów o łachman idą się ocierać.

TRZECI Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Pragną przyspieszyć koniec świata... Wszystkim
Przecież wiadomo, iż na krótko przedtem,
Zanim Archanioł zabrzmi nad doliną
Jozafatową, nastąpi zrównanie
Wszystkiego z wszystkiem: łachmana z bisiorem,
Przędzy konopnej z jedwabiem.

DRUGI Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Tak... Cóż to?
Tłum się uciszył... Nawet straganiarze
Zmilkli...

INNY Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Tak... Cóż to?!... Przyszedł już na miejsce...

PIERWSZY Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Cicho... To pretor czyta wyrok... Idźmy
Bliżej...

INNY Z UCZONYCH ŻYDÓW.

Już skończył... Teraz Annasz mówi.

ARCYKAPŁAN ANNASZ.

Ludu żydowski!

ARCYKAPŁAN KAJFASZ.

U mnie jest pierwszeństwo —
Arcykapłanem jestem i twym świekrem...

ANNASZ.

Głos twój jest chwiejny, popękany, głuchy,
Jak odgłos garnka stłuczonego.

GŁOSY Z TŁUMU.

Kajfasz!
Niech do nas Kajfasz się ozwie!

KAJFASZ.

Przez ciebie
Pycha przemawia.

SZYMON Z KYRENY.

Kłócą się o zaszczyt
Spełnienia zbrodni... Annasz tu zwycięży:
Młodszy, więc bardziej oddany Rzymianom.

GŁOSY Z TŁUMU.

Kajfasz!

INNE GŁOSY.

Nie! Annasz! arcykapłan Annasz!

ANNASZ.

Pretor — on jeden niech tutaj rozstrzyga...
Wyrokuj, panie, kto ma dziś pierwszeństwo:
Kajfasz czy Annasz, najwierniejszy sługa
Sług cesarzowych.

PRETOR.

Niech Annasz ogłosi
Wolę cesarza... Ucisz się, motłochu!
Cesarz przemawia...

ANNASZ.

Narodzie wybrany!
Ludu żydowski!... Rzymski prokurator
Na śmierć wam wydał zdrajcę i bluźniercę,
Ale raz jeszcze przezemnie obwieszcza,
Że, jeśli taka będzie wasza wola,
Jeśli w tym zbrodniu winy nie znajdziecie,
Albo do serca wkradnie wam się głupia,
Niewczesna litość, znamię ludzi słabych,
Wówczas mu każe zdjąć błazeński wieniec
I tę parodyę królewskiego płaszcza
I na swobodę wypuści zaprzańca
I burzyciela świątyni i wroga
Wszelkich porządków, bez których, jak glina
Źle wysuszona, świat ten by się rozpadł —

TŁUM.

Na szubienicę!

ANNASZ.

— A zaś na tem drzewie,
Które od wieków uważane bywa
Za drzewo hańby, za drzewo niestartej
Nigdy sromoty, każe rozpiąć członki
Którego z dzikich mężobójców... Wielką
Prokuratora jest łaska: wraz z wami
Wie Poncki Piłat, iż nad mężobójcę
Większym zbrodniarzem ten oto buntownik,
Jednak rzeknijcie, a cofnie swój wyrok...

GŁOS Z TŁUMU.

Niech na tym krzyżu Nazarejczyk skona!

INNY GŁOS Z TŁUMU.

Tak! On jest gorszy, niźli mężobójca!
Jego ukrzyżuj!... On, nędzny syn cieśli,
Królem się mienił żydowskim.

INNE GŁOSY Z TŁUMU.

Nie chcemy
Królów żydowskich, gdy wielki Rzymianin
Władnie nad nami —

KAJFASZ.

Podła czerń...

GŁOS Z TŁUMU.

On bunty
Pragnąłby wszczynać, a nam trza spokoju,
Aby szedł handel...

INNY GŁOS.

Dobrze nam handlować
Ze Rzymianami... Kupcy z nich na wszystko —

INNY GŁOS.

Na wasze żony i na wasze córki —
Płacą sowicie...

INNY GŁOS.

Ukrzyżuj!... Syony
Chciał nam rozwalać, a budować nowe!
Chciał równać ludzi, aby wszyscy byli
Jak on — parobek! A zaś od początku
Świata tak było i będzie do końca,
Że jeden służy, a drugi panuje!...
Nam dobrze służyć, wam dobrze panować —
Nie chcemy zmiany...

INNY.

A kto nam urzędy
Będzie rozdawał?... Kto nas po ramieniu
Jutro poklepie: „Witaj, wierny Sofar!
Bądź zdrów, Menachem... Otwarte są dla was
Bramy rzymskiego pałacu“ — — —

INNY.

Kto powie:
„Przyjdźcie na ucztę!... Eleazar tylko
Nie jadł z synami... To był czas szalonych! —

ALETHEJ.

Słyszysz?... Czy warto umierać?

SZYMON Z KYRENY.

O Boże! —

ARCYKAPŁAN ANNASZ.

Rozstrzyga święta wola ludu... Słuszne
I sprawiedliwe zapadły wyroki...

Módlmy się, bracia: „Panie Boże wielki!
Synowie ludzcy wszczęli bunt zuchwały
Przeciw Twej władzy — karz ich wiecznie!

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Stawamy zawsze przed oczyma Twemi;
Ty patrzysz w głębie naszych serc: jest czystość
I sprawiedliwość w naszem łonie! Boże,
Błogosław wiernych Twoich sług, a wrogów
W moc naszą oddaj, abyśmy spełnili
Na nich Twój wyrok nieswawolny.

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

W Tobie nadzieję mieli nasze ojce:
Tyś łuku Swego naciągnął cięciwę
Przeciw zastępom moabskim: Piorunem
Rażeni byli jako stada owiec...
I dziś, o Panie, rozpieraj się z tymi,
Którzy się z nami spierają! Walcz, Panie,
Przeciwko wszystkim, którzy z nami walczą —
W Tobie dziś nasza jest nadzieja...

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Podnoszą rokosz przeciw woli Twojej,
Co ustaliła fundamenty świata!

Z Kościoła Twego chcą rozebrać cegły,
Z kapłanów Twoich chcą poździerać suknie!...
Królami zwą się, dziedzictwo Dawida
Pragną rozdzielić według chęci swojej!
Wyżyny pragną zrównać z nizinami!
Boże Libanu! Boże, któryś Synaj
Wybrał, by z niego głoszono Twe prawa,
Pokaż swą siłę nad nimi! Niech będą
Jako robactwo pełzające...

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Wyrwij im język, by nie bluźnił Tobie
I Twoim sługom!...
Połam im zęby w ustach —
Trzonowe zęby lwiąt!

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Twarz ich napełnij wrzodami!

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Oczy im wypal Swym ogniem!

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Niech ci bluźnierce będą jako woda,
Co się rozpływa....
Niechaj-że będą jak trawa na dachu,
Co więdnie, zanim urośnie.
Spraw, aby byli jako płód niewieści,
Co, martwy na świat przyszedłszy, nie widzi
Blasków słonecznych!

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Chrząszczom daj wszystek ich urodzaj!
Pracę na pastwę daj szarańczom!
Gradami pobij ich jęczmień,
Winne ich szczepy i figi!
Wytrać ich bydło!
Niech żebrzą!...
A żebrząc, niechaj odchodzą z pustemi,
Panie, rękami!

CHÓR TŁUMU.

Amen! Amen! Amen!

ANNASZ.

Prześladowanie wiernych niech ich ściga,
A gdy przed sądem staną, czci swej broniąc,
Niechaj odchodzą pohańbieni.

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

O, wielki Boże! zgładź ich pierworodztwo!
O, wielki Boże! w drugiem pokoleniu

Niechaj zaginie ich imię.
Niech w krwi ich brocząc, człowiek sprawiedliwy
Wie, że nad nami jest Sędzia!
Na krzyż ich patrząc, niech wie człek pobożny,
Że jest nad wszystkiem Pan i Bóg nasz...

CHÓR TŁUMU.

Amen.

ANNASZ.

Bądź pochwalony, o Boże Zastępów,
Teraz i zawsze i na wieki wieków — — —

CHÓR TŁUMU.

Amen! Amen! Amen!

SZYMON Z KYRENY.

Czas już największy rozwalić świątynię,
W której panuje taki Bóg...

ALETHEJ.

Wątpieniem
Myśmy swych bogów strącili z Olimpu.

SZYMON Z KYRENY.

A my go siłą wypędzimy!

ALETHEJ.

Siła
Zawsze tu będzie słabością — — —

ANNASZ.

Na krzyż z Nim!
Zdjąć z Niego suknię i dać ją żołnierzom! — —

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Memu istnieniu czemuż nie ma końca?!
Zanim mnie z Raju wygnano, dla czego
Ta Moc Najwyższa nie kazała zginąć
I mnie i złemu, które było we mnie
I które stało się nasieniem złego?!
Ta Moc Najwyższa czemu powołała
Mnie, abym była?!... Nic! tak nic!... Ty Boże!
Gdybym posiadła Twą wolę i władzę,
Aby tę wolę zmienić w czyn, niczemu
Dałabym spokój!... Niechby było niczem,
Aby nie było to, co jest... Ty Boże!
Złem była wola i Twój czyn!...

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Dać tutaj!
Mnie się należy ta suknia!... Najcięższy
Jam mu wymierzył policzek!...

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Ja trzciną
Waliłem w głowę, że kolce pod skórę
Na cal właziły...

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Cicho, Katylino!
Podły imiennik, a może twój przodek
Groszem publicznym sakwy swe ładował —
I ty byś pragnął cudzem się zbogacić...
Suknia jest moją... Ja mam Scypionów
W przesławnym rodzie... My zasługi mamy,
Należy nam się nagroda.

SETNIK.

Na kości!...
Oddać tę szmatę na los szczęścia!... Kaju!

Podaj tu kości... Źle, kommilitoni,
Że się waśnicie... Wielkie państwo rzymskie —

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Co nam do państwa rzymskiego... Niech płacą
Żołd i nagrody...

SETNIK.

Fabrycjuszowi
Szczęście oddało.

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Ale my nie damy!
Na drobne strzępy!.., Lepiej nikt, niż jeden!

ŻOŁNIERZ FABRYCYUSZ.

Bydlęta! zbóje! rabusie! — — —

JEDEN Z ŻYDÓW.

Sofetja!
A wal tam dobrze w te gwoździe! bo jeszcze
Gotów się urwać!... Puk! puk! jeden wbity!
Wyciągnij bardziej rękę! dłoń się zwija,
Palce się kurczą!... Albo wiesz: przez kłykcie —
Tak!... wal przez kłykcie!... będą kości trzeszczeć!...
Mnie trzeba, widzisz, by kości trzeszczały!...
Puk! puk! jest drugi — — —

INNY ŻYD.

Abija! Itamar!
Menasze! Gierszon! Amram! Azor! Chodźcie!
Chodźcie tu bliżej! Patrzajcie, jak ciurka
Krew po ramieniu!...

PIERWSZY ŻYD.

Puk! puk! jest i trzeci!...
Za bardzo palce wystają u nogi!
Połam je trochę!...

GŁOSY Z TŁUMU.

Do góry! do góry!
Tak jest! do góry!...

INNY GŁOS Z TŁUMU.

Bądź mi pozdrowiony,
Królu żydowski!

JEDEN Z OBSZARPAŃCÓW.

Zstąp z tego krzyża!...
Daj-że nam ryby, bośmy bardzo głodni!
Od wczesnych świtów czekaliśmy wszyscy
Na widowisko!...
Zdrajco! Mówiłeś, że przyjdzie królestwo,
Gdzie ludzie z głodu mrzeć nie będą!
A moje dzieci już zgasły!
Równaczu ludzi!
Rozdzielaczu chleba,
Który przenigdy nie był twoim!...
Mówiłeś, kłamco, że będę bogatszy
Nad wszystkich wielkich bogaczy tej ziemi,
Jeżeli pójdę za tobą...
Poszedłem...
I patrz! łachmany na mem chudem ciele!
Oczy wyłazą od pustego brzucha!
A te ramiona jak suche łodygi!
A miałem służbę!...
A jeść mi dawano,
A zaś przez ciebie wygnał mnie Ikamjasz!

I nikt do służby przyjąć mnie już nie chce!
Mówią, żem człowiek, co się nazyrejskim
Zaraził trądem!...
Uwodzicielu ludu!
Praw gwałcicielu —
Praw, które każą szanować kapłanów,
Naszych od Boga danych nam przyjaciół!...
Ty gasicielu światła, w którem możni
Lśnią jako bogi, rozdając jałmużnę
Między nas biednych!
Chudopachołku! — — —

SZYMON Z KYRENY.

Brudny obszarpańcze!
Nędzny lizuniu! Co za faryzeusz,
Co za lewita uczył cię tej głupiej,
Śmiesznej, bluźnierczej litanii?! — — Ach! powiedz:
Widziałeś kiedy takie upodlenie,
Mój przyjacielu?...

ALETHEJ.

To jest nieszczęśliwy,
A może nawet obłąkany... Patrzaj,
Jakie on harce wyprawia swem ciałem!
Zgina te plecy, jak brzoza na wielkiej,
Czerwcowej burzy... Oczy krwią mu zaszły,
Włos mu w kołtuny zlepił się od nędzy,
A cienka szyja — — —

INNY Z OBSZARPAŃCÓW.

Wysokoś! Doplunę
Czy nie doplunę?... Tfu! tfu! tfu!

SZYMON Z KYRENY.

Nikczemna,
Służalcza duszo!...

ALETHEJ.

Świat to przeciw światu!...
Nie plam swej ręki dotknięciem... To zgraja,
Za którą umrzeć nie warto!... A gdzież są
Jego uczniowie?

SZYMON Z KYRENY.

Jeden z nich się zaparł,
Inni ze strachu się rozpierzchli... Słuchaj:
Mówisz, że umrzeć nie warto —

ALETHEJ.

Na świecie
Zbrodnia jest wieczną.

SZYMON Z KYRENY.

A żyć czyż jest warto?

ALETHEJ.

Nie wiem.

SZYMON Z KYRENY.

On jeden wie... Na krzyżu... Kona
Cicho, jak Człowiek, który wie i wierzy...
Słyszysz?... Przebacza łotrowi... On wierzy...

GŁOS Z KRZYŻA.

Boże! mój Boże! czemuś mnie opuścił?!

ALETHEJ.

To głos rozpaczy!...

SZYMON Z KYRENY.

Straszny głos!... W mej duszy
Ciemno i straszno!...

NIEWIASTA.

Zgasłeś, Zbawicielu!
Skończyłeś, Panie!

ALETHEJ.

Idźmy! idźmy! idźmy! — — —

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

O niezapomniany!
Twórco cierniowej korony!
O krwi spragniony,
Wyciekającej ze serdecznej rany!
O źródło lęku! o bezwstydnej zbrodni,
Od której hutnie roi się Golgota,
Bezwstydny ojcze, hutny krzewicielu!
Wiem: w twych uścisków lubieżnem weselu
Znów się występek zapłodni,
A jednak pcha mnie tęsknota,
Której się oprzeć nie mogę,
Na twej miłości wstrętną, podłą drogę.

Nie jedną chwilę,
Nie dzień, nie miesiąc, nie rok, nie wiek jeden
Trwa w swojej sile
Ta orgia życia, która boży Eden
Zmieniła w piekieł żarzewie!
Setki lat patrzę, jak na hańby drzewie
Zawisa Piękno, Dobro, Prawda, Miłość!
Setki lat słyszę, jak dudni Golgota
Od wrzasku zgraji i od huku młota
I od bluźnierczej modlitwy
Nad wielkim skonem świętego Rybitwy!
A jednak żądzy opiłość,
A jednak grzeszna pcha mnie wciąż tęsknota,

Której się oprzeć nie mogę,
Na twoich pieszczot wstrętną, podłą drogę.

Na krzyż spoglądam, na ten krzyż, co wieki
W swej strasznej grozie sterczy wciąż nademną
I w księżycowym blasku cień daleki
Rzuca w tę przestrzeń ciemną,
W przybytek nigdy nie zmazanej winy!
Na krzyż spoglądam, na wyrzut godziny,
Kiedy przeklęta, słodka rozkosz z tobą
Okryła Eden żałobą!
Na krzyż spoglądam, na którym Żywota
Spełnia się gorzka męczarnia:
I lęk mnie ogarnia!
I lęków moich pełna jest Golgota!
I, jak błędnica, szukam zapomnienia
W tej ciemnej smudze krzyżowego cienia,
A demoniczna pcha mnie wciąż tęsknota,
Której się oprzeć nie mogę,
Na twych ukojeń wstrętną, podłą drogę.

O Lucyferze!
Z tobą wieczyste zawarłam przymierze,
W ciebie jednego znów wierzę!
Na zawsze dla mnie zamknięte już wrota
Rozkwieconego Ogrodu:
Śmierć synów bożych bram tych nie rozwarła!
I wszystka we mnie nadzieja umarła,
Tylko mną szarpie i miota
Ból, co pozostał dla ludzkiego płodu
Strasznem dziedzictwem mej zbrodni.
Wiem, że występek znowu się zapłodni
Z twoich uścisków, że nowa Golgota
Powstanie z grzesznej miłości,

Co w naszem łonie zagości,
A jednak pcha mnie płomienna tęsknota,
Której się oprzeć nie mogę,
Na twoich objęć rozpaczliwą drogę.

W uszach brzmią ciągle rozpętanej rzeszy
Wrzaski i krzyki...
Cały ten zamęt dziki,
Który w przepaście upodlenia spieszy,
Powrotną falą w me wnętrze się wlewa.
W oczach sromotne wciąż mi stoją krzyże —
I idą na mnie krwią ociekłe drzewa
I swe ramiona
Wciskają gwałtem do mojego łona...
Krzyż jestem żywy i żywa Golgota
W urągających ciżb zmąconym wirze...
Uciec! zapomnąć! w twej Lecie utonąć!
Przy twych całunkach spłonąć!
Nieśmiertelności zadać kłam w rozkoszy,
Której mi żaden syn boży nie spłoszy...
Na ból, na rozpacz, co twą duszą miota,
Na lęk, co wszystkie jej siły rozprzęga,
W tobie się chowa ukojeń potęga:
Szepce mi o tem piekąca tęsknota,
Której się oprzeć nie mogę,
A która pcha mnie na twych uciech drogę.

Wróć do swej duszy, wróć, światło niosący!
Do swojej duszy, drżącej
Od tych uderzeń rozszalałej burzy,
Od tego znoju,
Co jedną dobę przemienił na wieki!
Powróć, zwycięzki panie, z swym promieniem,
Który mi jednem świeci przeświadczeniem,

Że już na zawsze los jest rozstrzygnięty,
Że w życia odmęty
Synowie boży nie wniosą spokoju,
Że nie przekształcą kałuży
W czyste, krwią grzechu nieskalane rzeki!
Od zmory,
Co na mnie wszystkie rozpuściła lęki,
Jest wybawniem dla twej duszy chorej
Wielka, jedyna twoich ust pieszczota...
Niechaj aksamit twej młodzieńczej ręki
Po moich biodrach spływa,
Niech dreszcz nad dreszcze me kości przeszywa!...
Tych dreszczów słodkich swej duszy nie żałuj,
Pieść, pieść i całuj!
W oszołomieniu miłości,
Co w naszych łonach zagości,
Zniknie krzyżami wieńczona Golgota...
Ach! jesteś, luby!...

LUCYFER.

Jestem!... W twej żałobie
Jestem przy tobie i w tobie...

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Pieść! pieść i całuj! pieść! rozpraszaj ciemnie
Tym niezgaszonym płomieniem Żywota —

LUCYFER.

Duszo zbłąkana! duszo! wierzysz we mnie?

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Wierzę! ach! wierzę!
Tęsknota,
Której się oprzeć nie mogę — — —

O Lucyferze! Lucyferze!
Znajdę-ż wiecznego wybawienia drogę
W twoich uściskach, które mnie tak kuszą,
Że — — —

LUCYFER.

Duszo! duszo!

DUSZA WYGNANA Z RAJU.

Ach! pieść i całuj!... Niech w miłości twojej
Utracę bytu świadomość... Ach!... zgoi
Moja się rana, co taką katuszą
Dręczy mnie wieki — — —?

LUCYFER.

Duszo! duszo! duszo!...

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA

On był i myśmy byli przed początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońca
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem...

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień,
w błogosławieństwie swych drogich promieni
więżący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznemi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą

i tem kamiennem, ślepem przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobrzeży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła,
zieleni się hej! mogiła,
zieleni się, hej!
A cierniste krzewię głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśniącemi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew
i grzbietem białych gór
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.
Przestwór się przed nią rozszerza

i, przepełniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą
i podeptaniem świętych, bożych praw
i krwawą zemsty pochodnią
i bolu, bolu strasznego
tak pożądanem, a tak żrącem widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębię —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha i patrzy i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie obzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju
w samotnej chacie pobłyskuje światło,
a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkosznej woni piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu
zza siódmej góry, zza siódmej rzeki,
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzach, po lesie,

po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą, wieczorną ciszę,
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć.
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są-ci ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony,
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przeźroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opalową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym
na opuszczonej mogiłce,
i, głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata,
a potem wstaje i traktem rozległym
albo miedzami idzie znów śród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe połyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkiem, dalekiem obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza...

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Ach! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
Jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza Ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...
Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościółka
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.
Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącem,

na skrzydłach psalmów, tak wiecznych,
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.
Bo gdzież jest większy Pan i król i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienieś Swoje zamknął w prochu ziemi
I wichr piersiami oddycha Twojemi,
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem
i przez Cię Wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? Gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twej dosięga?
Gromem przemawiasz w łyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,

tej nieskalanej, pokornej i cichej!...
On był i myśmy byli przed początkiem —
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął ponad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Stamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakieś się echo przyczołguje w duszę —
Cicho!
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!...
Przeorałem łan o świcie —
od pola, do pola,
kąkól wyrósł w mojem życie,
dolaż moja, dola!
A graj-że mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!...
a graj-że mi, graj!...
Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!

Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi — — —
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?
Dlaczego krzykiem ognistym,
wystrzelającym z tych przepastnych szczelin,
pomiędzy dwiema piekielnemi ściany,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swymi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i w mgnieniu oka wyrósłszy
w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennemi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na popiół smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potop płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych...

Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
cały spłomienion, większy niż przestwory,
z krzyżem ogromnym, płomienistym w dłoni
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
mnoga, jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojcam się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,
krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!
Moja to wina, moja wielka wina!
Matkęm wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej większym, niż ja, tchórzom —
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawałnic,
aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
oczy wyżarły błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oślepłą siostrę spotkawszy żebrzącą
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i, na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:

Idźcie! mnie łaski waszej nie potrzeba —
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę
i z głodu zęby wyszczerzył
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,
kopnąłem nogą,
aż ze skowytem padł pod moim płotem!
Robaka-m zdeptał —
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczym snom stalaktytowym,
albo ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,
kazałem ścinać pachołkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżął
dla swego konia —
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Uwiodłem żonę przyjaciela —
moja to wina!
Pod próg sąsiada kazałem podrzucić

dziecko, zrodzone z mego rozbestwienia.
A raz to grzech mi tak zaciemnił oczy,
żem po omacku szedł w przepastną głębię
strasznego lasu,
i jadowite wyszukawszy ziele,
świat niem stłumiłem w poczęciu.
Moja to wina, moja wielka wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!
W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!
Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć Twej dobroci sięga?!...
Rozpalonemi namiętnością dłońmi
umiałem skazić niewinną wstydliwość,
nim się w słoneczne rozwinęła kwiecie.
Podstępnie owoc zerwałem dziewiczy,
słowem, któremu dała moc obłuda,
wielbiąc zbawienie z miłości,
a sobie-m szeptał, jak złodziej, co w każdym
widzi złodzieja: rwij, nim przyjdzie inny!
Za grosz kupionej rozpuście
dałem się wlec po kałużach,
albo gdy przesyt wypił ze mnie krew,
jak widmom stawał u bram lupanaru
i źrenicami, zmienionemi w szkło,
przez które ognia przezierał ostatek,
zazdrośniem śledził takich, jak ja — trupów,
by ich rozkoszą zwątloną
podżegać w myśli mą rozkosz przymarłą.
A nieraz podłość tak mi żarła duszę,
że chcąc wypełnić jej pustkę,
małom nie szeptał błądzącym przechodniom:
Nie temi drzwiami: tamte wam poradzę.
Moja to wina, moja wielka wina!

Związan ślubami,
które mi jarzmem się stały,
a sił nie mając otwarcie
zrzucić ze siebie tych błazeńskich dzwonków
arcykapłana domowych ołtarzy
i iść, gdzie w słońcu południa,
śród woniejących ogrodów
krwawo się złoci zakazane drzewo,
dawałem w duszy przystęp takim szeptom:
Niechaj-że Szatan się zjawi
i niech uwikła w sieć swojej pokusy
tę, co mi ongi była mocą szczęścia,
a dziś mnie dusi swą cnotą!
Wówczas jej krzyknę: podłaś! i już czysty
w nędznem sumieniu pójdę spełnić zdradę!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest to źródło,
z którego bije szlachetność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
bomci ja człowiek, bom urodzon z bolu,
bo żal i rozpacz i przestrach
i wyczerpanie i siła
są przyczynami mojego istnienia...
Spłonąłem chucią do mej własnej krwi,
do matki mojej i do córki mej!
A w noc tajemniczą,
kiedy przed moim pałacem,
wzniesionym z mgławych majaków,
przedziwne kwiaty o zbielałych oczach
rozrzechotanej Meduzy
do jakichś strasznych rozmiarów
w mżach wyrastały miesięcznych —

kiedy się księżyc skradał do mych komnat
i kładł na łoże mego wyczerpania,
wonczas mnie ze snu budziła lubieżna,
sprowadzająca warg bezwładne drgawki
i źrenic błędną gorączkę,
potworna żądza ku Twemu — zwierzęciu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oto jest miłość! Oto jest krynica,
z której wypływa zwycięstwo nad piekłem!
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Karz mnie!
W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy, niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszał, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe, ślepe przerażenie!
Kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości
wydzielał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera!
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.
Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,
z którego lecą skry na ludzkie niwy,
a pomsty Twojej płomienna potęga
od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam wysusza i pożera kości
wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości —

żadna się przed nią groza nie ostała:
Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
na wieki wieków, Amen, Amen, Amen!
Panie!
Kłamałem!
Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie
zżółkłemi łony i nagością swoją
opanowawszy mą duszę,
kazały zyzem patrzeć mi na sławę
i na bogactwo rodzonego brata.
Kradłem —
w kościele Twoim rozbiłem skarbonę!
Moja to wina moja wielka wina!
A raz w czarownem, wielkiem, ludnem mieście,
spiesząc ku śmierci, która czeka na mnie,
chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota:
i błyskawicą, która idzie z Ciebie —
moja to wina, moja wielka wina!
myśl mi przebiegła haniebna:
tak! wymordować czcicieli Molocha
i potem — zająć ich miejsce!
Panie!
Fałszywym byłem prorokiem
i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem — jak oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego zczerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i wziąwszy jabłko do ręki i berło,
kazałem klękać przed swymi rozkazy,
jakby nie było Twego majestatu!

Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morza,
a w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom ci ja człowiek, skazany na karę,
bo dzień mój przygasa.
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas —
moja to wina, moja wielka wina, —
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą
ani kamiennem, ślepem przerażeniem...

A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią —
suchy piasek się podnosi —
A graj-że mi, graj!...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
kiedy na wieki — na wieki
gaśnie jej dzień — — —

ŚWIĘTY BOŻE ŚWIĘTY MOCNY

O niezgłębione, nieobjęte moce!

Skrzydłami trzepocę
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...

Święty Boże! Święty Mocny!
Święty a Nieśmiertelny!...

A moje skrzydła plami
krew, która cieknie bez końca
z mojego serca...
A oko moje zachodzi mgłą,
która jest skonem
i mego serca i duszy mej!

Niech będzie skonem i Twoim
Święty Boże! Święty Mocny!
Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!
I niechaj łzy,
które o jasnym poranku
wiszą na kłosach wypoczętych zbóż
lub szkliwą pianą okrywają kępy
w sen otulonych traw,
zmienią się w głośne skargi
i bez ustanku
płynę do Twoich zórz...

Niechaj rozszarpią na strzępy,
na krwawe szmaty
łuny świtowe, powstałe nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
ogromne, przez Szatana zapłodnione światy,
a może przez Ciebie,
o Święty, Nieśmiertelny, Święty, Mocny Boże!

Dlaczego moje-li wargi
mają wyrzucać krwawą pieśń?!
Płacz ze mną!
Dlaczego sam mam iść w tę przestrzeń ciemną,
choć żar południa pali się w przestworze?...
Dlaczego sam mam wlec się na rozdroże,
ku tym pochyłym krzyżom,
którym na czarne ramiona
kracząca siada wrona
i dzióbem zmarłe rozsypuje próchno?

Niech głuche żale nie głuchną!...

Idź ze mną!

Zrzuć z Siebie, Ojcze, nietykalne blaski!
Zgarnij ze Siebie tę bożą,
tę władającą moc, co nad wiekami
nieugaszoną płomienieje zorzą
i światłość daje światom
i światy w swoim ogniu na popioły trawi!
Stań się tak lichy, jak ja, i skulony

i, doczesności okryty łachmanem,
wlecz się nieszczęsnym łanem,
za kluczem w dal przymgloną ciągnących żórawi,
ku cichej, na rozstajach kopanej mogile
zapomnianego człowieka!
Albo w swej całej, wiekuistej sile,
w całej potędze wszechmocnego bytu,
stań przy mym boku
i duszę moją rozszerz do Swego bezmiaru
i oczy moje, w smutku zapatrzone strony,
rozewrzyj, królu globów, pełnych żalu,
do nieobjętych orbit,
i wlecz się, wlecz się ze mną na samotne pola,
ku tym ostami porosłym przydrożom,
gdzie, kurzem obsypana, ślepa siadła Dola...

A wiatr rozwiewa jej włosy
i żwir jej w puste sypie oczodoły,
a słońce, rozpaliwszy bezdenne niebiosy,
pali jej żółte, pomarszczone skronie
i po policzkach leje strumień żaru,
w bezdźwięczną skórę piersi wysuszone zmienia
i wargi jej roztwiera, daremnie łaknące
ach! rzeźwiącego zbawienia.
A dzwon się rozlega,
z jękiem się czołga po spalonej łące,
z płaczem się wznosi nad umarłe błonia,
łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody
i zrozpaczony zamilka u brzega
i znów się zrywa i jęczy i płacze
i łka i płynie i płynie i płynie
w tej rozpłakanej godzinie...
A jako widna ta ziemia, wspaniała

wielką godziną konania,
niepogrzebione wokół leżą ciała,
a ci się wloką, popędzani mocą
strasznego lęku.
A każda głowa ku ziemi się słania,
każde kolano się chwieje,
a krzyże posmutniałe drżą w wychudłych ręku,
a w wietrze chorągwie trzepocą,
a w martwem, niemem słońcu gromnice się złocą,
a Śmierć przed tłumem kroczy,
wielkimi kroczy odstępami
i z śmiechem na trupich ustach
wywija kosą stalową,
połyskującą w południowym skwarze.
A nad jej głową,
jak wieniec z czarnych ziół,
rozkwitłych podmuchem żałoby,
gdzie drzemią stuleci groby,
zgłodniałych kruków krążą stada
chmurą ściemnioną
i wysunąwszy dzioby,
żądliwie chłoną
ten wiew, który idzie od ziemi —
trujący, śmiertelny wiew...
A ona, świata przebiegając smug,
kroki swe liczy na mile
i kosą zatacza łuk,
że, jako zboże w dzień kośby,
tak pokolenia padają
na nieskończonym obszarze,
który jej mocy oddał się spokojny,
który jej mocy oddał się bezwiedny...

O dzwonu łkające prośby!
O szumie więdnących drzew!
O Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!...

A ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką.
A dzwon się rozlega
w blasków słonecznych pozłocistym pyle,
opadającym na zielska przydroży,
na melancholią okryte przecznice,
na grób samotny
zapomnianego człowieka.

Kopcie samotny grób!
Niechaj w nim kości położy
ten, który z matki żywota
wyniósł nieszczęsny los!
Nieokiełzana gnała go tęsknota
za widmem bolu,
który sam jeden
wszechmocny posiada głos,
który sam jeden rozpieśnia
duszę słabego człowieka
w natchnioną pieśń,
zapładniającą światy...
Kopcie samotny grób,
pośród krwawników kopcie i dziewanny,
u stóp
próchniejącego krzyża,
gdzie w południowy skwar
bratnie się schodzą duchy,
tłum zapomnianych mar,

i wśród spalonej usiadłszy murawy,
jęk wyrzucają głuchy
z skrwawionych łon...
A jęk ten idzie po zżętych zagonach
razem z tą pieśnią, którą jęczy dzwon —
na rżyskach rusza porzucone kłosy,
czarnemi ożyn jagodami chwieje
i wierzb płaczących srebrne czesze liście
i szumi w wierzchach czerwonych chojarów...
Kopcie samotny grób
tam, na tej miedzy szerokiej,
gdzie rośnie łopian chropawy,
gdzie śrebrne lśnią się podbiały,
gdzie aksamitna bylica
rozpierza miękkie swe kiście!
Tam, gdzie ten parów
sączy resztkami wody,
gdzie ten wądolec ospały,
gdzie ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką,
gdzie się nad drogą kurzu wzbija słup,
kopcie samotny grób!
Gdzie ziemia pęka od żarów,
gdzie każda jej grudka
pełna jest znojów
i krwawych prób,
gdzie dzwon się rozlega,
gdzie w wietrze chorągwie trzepocą,
gdzie się gromnice złocą —
kopcie samotny grób!
Gdzie w dali pobłyskuje jezioro tęskniące,
gdzie jaskier więdnie na łące —
gdzie opuszczone mogiły —
te kopce poległych wojów

nielitościwy rozorywa pług,
rdzawe szablice wyrzucając z wnętrza,
dziś wroga zbrodniczy łup,
tam wy samotny, cichy, kopcie grób!...
Niechaj w nim kości położy
ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,
jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.
Niechaj w nim spocznie na wieki
ten, który zabrał z jej chat
żalniki łez
i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres,
i z jej szumiących zbóż,
zgarniał ten dziwnie przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat
jak wielką świętość niósł.
I żal go zdejmował,
że mu nie daną była moc,
by zmienić w tryumf te łzy;
że nie miał siły,
aby te szumy żałobne
w jakiś weselny,
w jakiś radosny hymn się rozpieśniły!
I, obarczony przekleństwem najdroższych,
stanął na drodze w dzień tuczy,
jak krzew pogięty,
i z piorunami w zawody
rozpaczą grzmiał!
A burza huczy i huczy,
a chmur się kłębi wał,
a wiatr mu deszczem miecie w ślepe oczy,

a grzbiet mu drży, jak brzoza wśród pustego pola,
a ślepa na przydrożu przykucnięta Dola
śmieje się dzikim śmiechem,
że się nie spotkał z echem
ten rozpaczliwy głos,
że go wchłonęły odmęty
tej burzy.
Że w tej śmiertelnej podróży,
w tej drodze znojnej,
na tym zsieczonym łanie
upadł bezsilny człek,
do wichru zwalił się stóp.
Kopcie samotny grób!
A Ty, o Święty,
o Nieśmiertelny,
który Swym jednym oddechem
wypełniasz wieków wiek,
Ty od powietrza, głodu, ognia i wojny
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!

Świat dół swój grzebie
od pierwszych dni,
a w obramieniu Trójkąta
Twe oko lśni
nad węgłem niebieskiej bramy...
A my wołamy do Ciebie,
a my wzdychamy,
Ewy nieszczęsne dzieci...
A z głuchym łoskotem
na trumnę sypią się grudki
ziemi, oblanej potem,

ziemi, oblanej krwią...
A naokoło zapadłe mogiły
i cicho łkające smutki
wśród trawy, co z cichym szelestem
pożółkłe liście kołysze.
A światłość wiekuista biednym ludziom świeci
w tę podróż ciemną...
Jestem!
I Ty jesteś tu ze mną!
Przerwij tę ciszę!
Niech Twoje słowo gromowe
zagrzmi nad wielkim cmentarzem!
Radosne niech głosi nadzieje!
Niech zapomniani wstaną,
a żywym niechaj życie nie będzie ponurym,
wieki kopanym dołem!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Z kornem błagamy czołem!
Spuść Swoją łaskę na tę naszą głowę,
na oczy, zmroczone łzami!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz!
Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze, nim dojrzeje...
Nie trać naszego dobytku
w owcach i koniach!
Trzymaj z daleka pomory,
które nam biją
ostatnią krowę z obory!
Ze żyta wypleń sporysze
i chwast kąkolu
i w ręku trzymaj te chmury,
by się nie rwały

i nie topiły w ulewie
snopów na polu!
Niechaj nie płaczą stulecia!
Niech mróz spóźniony nie waży nam kwiecia
na ledwie rozkwitłem drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach,
byśmy Twe dary godnie oceniać umieli.
O pełen kary
i przebaczenia pełny!
Chociaż ci nasze te grzechy utrudnią
stanąć nad niemi z powieką zamkniętą,
niech Twoja litość stokroć większą będzie,
niżeli wszystek nasz grzech!
O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!
Na naszej grzędzie,
gdzie ciężki trud rozpoczęto,
niech trud ten żniwem się stanie!
Spraw, aby w wielkie, uroczyste święto,
w tę chwilę wesołą,
gdy na organie
i śpiewem i kadzidłem wielbimy Twą moc
i dobroć Twoją,
nie była dla nas potrzeba
skąpić dziecinom chleba!
Chroń nas od zdrady
i daj nam tyle,
byśmy we własnej spoczęli mogile;
by nasze dzieci czy wnuki
gdy przyjdzie im dla ojców starych kopać grób,
nie były przymuszone iść między sąsiady

i prosić o jałmużnę ach! na cztery deski,
na prostą, białą skrzynię z naznaczonym smołą
krzyżem u głowy...
Ojcze niebieski!
Na pokropienie daj
i aby grosz był gotowy
dla dziadka proszalnego, co w gorącej wierze
ciche odmówi pacierze...
A jeśli ziaren swych łask
nie zechcesz równać strychulcem
po brzegi swej szczodrej ćwierci,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
racz nas zachować, Panie!
I niechaj w wietrze chorągwie trzepocą,
niech się gromnice złocą,
niech blask ich płynie w ten słoneczny blask!
Pogrzebne niech zabrzmią śpiewy
nieszczęsnym dzieciom Ewy!
Padłym na znojnym łanie
niech dzwoni żałobny dzwon,
niech szumi z tej trawy szelestem...

Święty Boże! Święty Mocny!

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,

a czarna wrona
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca
kracze i kracze
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
świetlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie,
do wielkiej się wloką mogiły...
Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądolcach
i, z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...
Z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkimi
wierzb zaszeleścił rząd
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żałobie
śladem ich drogi...
Całe rżyskami zaścielone łany
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i płyną,

tą wielką żalu godziną...
A Ty, o Boże!
o Nieśmiertelny!
o wieńcem blasków owity!
na niedostępnym tronie
siedzisz pomiędzy gwiazdami
i głową na złocistym spocząwszy Trójkącie,
krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej
i ani spojrzysz na padolny smug!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżyce,
jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą mrzeć,
w samotny kłaść się grób...
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
O Boże!
O Mocny!
Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód!
Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.
A jako ryczący lew
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...

Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O zniszczeń dymiące dni!
A my, ten ród potępiony,
krzyże ująwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiemi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znojny
w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —
idziemy, biedną pochyliwszy głowę,
jak ten zsieczony las —
idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na to cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie...
A pierś nasza łka,
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła krwią ociekające,
a jaskier więdnie na łące,
a z nami idą dziewanny

i krwawnik i wodne lilie,
a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!?
O Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj, nas Panie!...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łożyska,
gdzie nocą ognikami błyska,
z czeluści błota wstał
i gdy najkrótszy słońce rzuca cień
na te manowce, na te ścierniska,
pod ramię chwycił Kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal —
nad Ciebie, Boże, wzrósł!...
Masz-li Ty grom —
Masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?...
Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...
. . . . . .
Szatanie!
Ty Kościotrupa chwyciłeś pod ramię

i nad wysokość jego ostrej kosy
wzrosłeś w niebiosy —
a grom nie pada!
Z nieukojoną żałobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...
Szatanie!
Kop mi samotny grób
na opuszczonym łanie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą?
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!...
A Ty, o Święty!
A Ty, o Mocny!
Ty Nieśmiertelny,
proch gwiazd przesypuj w Swej klepsydrze złotej
i płodź żywoty,
aby tak klęły, jak ja;
aby płakały, jak ja;
aby w szarpiącej modlitwie,
co jako dzwon ten łka,
o zmiłowanie prosiły;
aby się wlokły z gromnicami w dłoni
ku tej nieznanej ustroni,
do tej — ostatniej mogiły;
aby tak wyschły jak łza,
którą już oko me płakać nie może;
aby tak marły, jak ja —
o Święty, Nieśmiertelny! Święty, Mocny Boże!

DIES IRAE

Trąba dziwny dźwięk rozsieje,
ogień skrzepnie, blask ściemnieje,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście
na Sędziego straszne przyjście,
by świadectwo dać Psalmiście...

A ty, psalmisto Pański, nastrój harfę swoją
już na ostatni ton!

Grzech krwią czarną duszę plami...
Bez obrońcy staniem sami —
któż zlituje się nad nami?

Kyrie elejson!...
O Boże! Ty bądź naszą łaską i obroną!
Kyrie elejson!

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
gasnącem wieki wieków spojrzyj na nas okiem!
O spojrzyj na nas z tej głuszy,
która swem tchnieniem głębokiem
ogarnia światów bezmiary,
a którą ty wypełniasz swych bolów ogromem,
o Głowo, owinięta cierniową koroną.
Żałobna drogo nieochybnej kary,
broczącej we łzach i przy jęków wtórze
w ten pozbawiony końca
Pańskiego gniewu dzień,
w którym w pożarach spokojnego słońca

szatańskim chichotem płoną
świeże, niezwiędłe róże
grzechu i winy!

Na ich purpurze
osiadł posępny i siny
tej Konieczności cień,
z której przepastnej głębiny,
z łona, pełnego niweczących tchnień,
nad boskiej woli złomem
wyrosły zabójcze kwiaty
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...

A Ewa jasnowłosa, matka gwiazd i ziemi,
upaja się ich wonią schylona nad niemi.
Kyrie elejson!
Przez ciebie w proch nicości wracają Twe światy,
o Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Od twego drzewa oderwany liść,
pędzi duch ludzki i naprzód i wstecz,
niby garść kurzu, porwana cyklonem:
przed nim i zanim płomienisty miecz
iskrzy się ostrzem czerwonem;
przed nim i za nim wstają z swych cmentarzy
upiory wieków, naznaczone sromem
winy i grzechu,
i klną, i bluźnią, i płaczą,
jęczą, i syczą, i dyszą
nieustającą rozpaczą,

od szaleńczego zamierają śmiechu
w ten Pańskich gniewów nieskończony dzień...

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
Ty, co rozpierasz swej męki ogromem
pierś Konieczności! O Głowo,
której źrenice, jako dwie pochodnie
dogasające, płoną
nad krętą, pustą, nieskończoną drogą
i gasną, gasną, a zgasnąć nie mogą,
zawrzyj swe oczy nad nami,
nie patrz na boleść i zbrodnię!...

Jedno jest tylko w przestworzach widomem,
jedno w zachodniej płomienieje zorzy
nad płomiennemi falami
wiekuistego Żywota
i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży
i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy,
by iść i iść i iść
poza granice duszy —
jedno jest tylko Jednem,
grzmiącem miedzianą surmą archanioła
ponad pokoleń pokoleniem biednem
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:
wielki, wszechmocny Ból.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Niech łaska Twoja winy nam odpuści...
A ty swe skronie tul
do zimnych opok, do strzaskanych grani,
sterczących smutnie nad gardłem czeluści,
i płacz...

Surma jęczy, surma woła!
Giną w chmurach wirchów czoła;
wałem mżących mgieł dokoła
nieznany oddech miota,
jakieś potworne, dzikie kształty tworzy
i po dolinach rozpędza ich stada
i znów je skupia w przepastnej otchłani
i ku niebiosom wyrzuca ich kłąb
i w jakieś czarne rozsnuwa całuny
ten niewidzialny, dreszcz budzący Tkacz
i ciężką, mokrą tą przędzą pokrywa
wszystko, co jest...

O biada!...

Biada!... Pierś światów przed chwilą tak żywa,
kona pod strasznym ciężarem...
Olbrzymy świerków padają strzaskane;
las się położył na skalisty zrąb;
węże kosówek, wyprężywszy ciała
w kurczach śmiertelnych, drętwieją bezwładne;
wrzos na granitów podścielisku szarem
spełznął na wieki;
kozice stromą oblepiły ścianę
i patrząc trwożnie w bezmierny, daleki,
w ten nieskończony chaos mgieł i cieni,
runęły w żlebny grób...
Rozkrzyżuj silne ramiona
i paznogciami wpij się w twardy głaz
i odwróć oczy od onej przestrzeni,
w której rozsadza horyzontów krańce
ta Głowa, w cierń uwieńczona!

Nie patrz, gdzie siadła jasnowłosa Ewa,
wygnana z Raju na wieczysty czas,
mająca zbrodnię u swych białych stóp,
wieczyście żarta płomienistą żądzą
winy i grzechu...

O duszo, pełna miłości,
a którą nieustanne szarpią niepokoje!
Pańskiego gniewu zwalił się już dzień!
Trombita Sądu nad tobą rozbrzmiewa
piorunną mocą archanielskich tchnień
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...
Niechaj mnie sądzą,
niechaj mnie karzą —
tak, mnie, Adama, com na barki swoje
zabrał z Ogrodu to nadludzkie brzemię
przygniatającej winy
i wieki wieków pnę się z tym ciężarem
ku wiekuistej wyży,
i zbladłą nie śmiem odwrócić się twarzą
tam, ku tym zmrokom, co zaległy ziemię,
tam, ku piekielnej przełęczy,
na której siadła jasnowłosa Ewa
z padalcem grzechu u swych białych stóp...

Miliardy krzyży,
opromienione okręgami tęczy,
z padolnych Styksów powstają głębiny
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień
i rosną, rosną w jakiś straszny las,
co wierzchołkami swych bolesnych drzew
przeszywa wszystkie mgły

i wszystkie blaski, które lśnią nad mgłami,
wypływające z Wszechmocy Istnienia.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Twojego gniewu nadszedł wielki czas,
głos już zagrzmiał hiobowy,
niebios walą się posowy,
z owiniętej cierniem Głowy
rzeką i morzem płynie ciepła krew,
w rzekę i morze krwi jej ból się zmienia...

W świątyni bożej zamilkł święty śpiew,
już się zasłona rozdarła na dwoje,
mur się już wali i skała już pęka...
A krew w tych morzach, w tych czerwonych rzekach
ścięła się w ciemny lód...

Kyrie elejson!

Ogromna, niesłychana, wiekuista męka,
z nieprzygasłemi oczyma,
milcząca, cicha, i, jak zmierzch, pobladła,
na wklęsłych skroniach siadła,
na wpółotwartych powiekach
i na wydętych piersiach tych olbrzymich ciał,
które do krzyży przybiła
nielitościwa Dłoń...
W kleszczach je swoich trzyma,
wpija się w kąty ust,
ramiona w kabłąk gnie

dręcząca wieki niezmożona siła
i, jak śmiertelny szał,
zastygły, skamieniały w godzinie konania,
swoim ciężarem się wgniata
w zwiędłe, z przepasek odsłonięte brzuchy
i biodra spłaszcza, kolana rozsuwa
i pokrzywione, czarne palce nóg,
pokrytych siecią fioletowych żył,
w zamarłych kurczach wydłuża...
O grozo świata!
O widma, płynące w dal! —
W ten przestwór ślepy i głuchy,
w wilgotny, mgławy pył,
w te ciemne wnętrza bezsłonecznych brył —
w potworne gmachy nadszczytowych chmur!

Jeszcze nie zapiał kur,
a na piekielnej przełęczy,
nad dnem Styksowych otchłani,
siedzi pod złomem niebotycznej grani,
pramatka Grzechu, jasnowłosa Ewa,
z gadziną zdrady u swych białych stóp.

Kyrie elejson!
Straszny przed nami otworzyłeś grób...

I płyną, płyną te milczące krzyże
razem z ruchomem, wielkiem trzęsawiskiem,
które swą rdzawą kałużą oblewa
męczeńskie drzewa.
Wszystko, co było dalekiem i bliskiem,

co opadało w niedojrzaną głąb
i w niedojrzane wznosiło się wyże,
teraz tem wielkiem, grząskiem bagnem płynie
w Pańskiego gniewu ostatniej godzinie...
Kyrye elejson!
Światy pochłania nieprzebyty muł,
światy, od bożych odepchnięte bram.

A z pod korzeni jadowitych ziół,
z pod kęp sitowia i trzciny i traw,
z rowów, przepadlisk, wądolców i jam,
pokrytych opalowem szkliwem zgniłych wód,
zaczyna wypełzywać żmij skłębiony płód:
czarne pijawki, zielone jaszczury
wiją się naprzód wpław
i oplatają kręgami śliskiemi
męczeńskich krzyży smutne miliardy,
z bagnistej wyrosłe ziemi,
zapadłe w bagnisty kał...
I oto głowy swoje, dziwne, ludzkie głowy,
świecące trupim tłuszczem zżółkłych, łysych czół,
o szczękach, otulonych kłębem czarnych bród,
kładą na łonach tych pomarłych ciał...
I skośne, mętne oczy podnoszą do góry
ku ich schylonym skroniom...
I biodra opasawszy w lubieżnym uścisku,
zwilgotniałemi usty
szepcą im słowa rozpusty...

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
W królestwie Śmierci staje nagi szał.
W niedoścignionym błysku

tchnienie żywota przenika
to, co od wieków zagasło...
W Pańskiego gniewu ostatniej godzinie
krew świeża płynie
z odrywających się od krzyży rąk,
z odrywających się od krzyży nóg...
I Głowa, owinięta cierniową koroną,
ta Głowa, która przestwer wypełnia bezbrzeżny,
podnosi ciężkie powieki i patrzy....

Jakaż to orgia dzika!
Jakiż to chaos mąk!
Kyrje elejson!
Idą na się zmartwychwstali,
ogniem wojny świat się pali,
tłumy w krwawej brodzą fali!
Adamie potępiony, zwróć się z strasznych dróg!
Zawiśnij na swym krzyżu, sterczącym w niebiosa,
i nie patrz, gdzie w spokoju Ewa jasnowłosa,
piekielny zająwszy próg,
do rozpustnego przytula się gada!
O biada! —
Idą na się zmartwychwstali —
w oku mściwy skrzy się gniew,
rozpaczy kurcz wypręża rozchylone wargi,
kroplisty pot oblewa policzki zapadłe,
kudły włosów zlepia gęsta krew.
Z wyciem hyen, z rykiem lwów,
z psów szczekaniem, z rżeniem koni,
które cugli nie zaznały,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
poszarpane miecąc skargi,
pędzi tuman ludzkich żądz.

Ten upada, ten się broni,
temu dłoń ścisnęła krtań,
ten się w swojego brata paznogciami wrył,
a tamten zęby szczerzy, poszarpawszy ramię,
a ten olbrzyma ręką pochwycił dwie nogi
i rozdarł na dwie szczypy tułów Heraklowy
i w ciemną rzucił bezdeń, w Sądu straszną noc...
A z parą szklannych, martwych kul,
rozsadzających oczodoły,
biegnie bez końca, bez końca, bez końca,
gnając przed sobą bratobójczy huf,
niemy i głuchy Strach...

Zakryj błędne źrenice, ścigany Adamie!
Nad tobą tam! u szczytu
złocistowłosa Ewa!
Jej grzechu ciężar zgniótł cię, stanąłeś wpół drogi!
Zakryj błędne źrenice i na wieki wieków
rzuć się w przepastny żleb!...

Enoch i Eliasz z proroczemi księgi
przyszli obwieścić szalonemu światu
Pańskiego gniewu moc.
Lecz nim zdołali rozedrzeć swój płaszcz,
nim głos wytrysnął z przepełnionych łon,
padli w zamęcie spadających gwiazd,
zgaśli, jak słońca,
na to wzniecone w przedpoczątkach bytu,
ażeby zgasły... Amen.

Szum się wielki stał dokoła,
kiedy surma archanioła

na ostatni Sąd zawoła.
Głos rozlega się ponury,
jak grzmot leci złotopióry,
z dolinami równa góry.
Drży strwożona światów dusza,
a on głębie mórz wysusza,
kości wieków w grobach rusza.
Gwiazdy z orbit wytrąciła
archanielskiej trąby siła,
już rozwarła się mogiła.
Idą na się zmartwychwstali,
ogniem buntu świat się pali,
tłumy w krwawej broczą fali.
Z wyciem hyen, z rykiem lwów,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
pędzi tuman ludzkich żądz...

A On,
potężne Łono przepotężnynh łon,
Jasność jasności,
Zmrok zmroków,
Łaska łask i gniewów Gniew,
stanął nad skonem Żywota
i, rękę położywszy na głowie Boleści,
na niezmierzonej, cierniem opasanej Głowie,
wypełniającej wszechświatów przestwory,
rozpoczął Sąd.
Biją pioruny,
a nad pioruny idzie Jego zew!
Ogrom bytu błyskawic wszystkich nie pomieści,
a Jego światłość złota
strzela nad pełnię, nad ogniste łuny
błyskawicowych potoków...

Czem jestem wobec Ciebie, ja, com z rajskich włości
zabrał z sobą, wygnaniec, tę łamiącą winę
i teraz ginę,
od Wschodu do Zachodu tułacz nieszczęśliwy,
pod nieuchronnych wyroków
w początkach dnia i nocy wzniesionym obuchem?!
Stopę swoją złożyłeś na pokoleń grzbiecie
i sądzisz! Kyrie elejson!
Płaczów i jęków słuchasz niesłyszącem uchem
i sądzisz! Kyrie elejson!
Na mękę wieków patrzysz niewidzącem okiem
i sądzisz! Kyrie elejson!
Niewiasta z rozpaczliwym krzykiem rodzi dziecię,
Ty duszę jego grzechu oblewasz hyzopem
i sądzisz! Kyrie elejson!
Wichr idzie po rozdrożach westnieniem głębokiem
ku Twojej wyży
modlitwy niesie krwawe, przybite do krzyży,
Ty sądzisz! Kyrie elejson!
A kto mnie stworzył na to, ażebym w rej chwili,
odziany potępienia podartą żałobą,
kawałem kiru, zdjętym z mar Twojego świata,
wił się i czołgał przed Tobą,
i martwem, osłupiałem z przerażenia okiem
strasznego Sądu wyławiał płomienne,
świat druzgocące rozkazy?
A kto mi kazał patrzeć na te czarne głazy,
rozpadające się na gruz pod mocą
Twojego gniewu, przeraźliwy Boże —
na głazy te, gdzie straszny owoc Twego drzewa,
złocistowłosa Ewa,
do piersi pierś padalca tuli obnażoną?...

O Głowo, przepasa cierniową koroną!...

Któż się nad dolą zlituje sierocą,
nad moją dolą,
której, Boże, Twe ręce, z kajdan nie wyzwolą?
Kyrie elejson!
Patrzaj!... Kyrie elejson!
Ona swą białą dłoń
kładzie na jego skroń —
na trupią, zapadniętą, zżółkłą skroń zleniałą...
Kyrie elejson!
I podczas, gdy swe Sądy sprawiasz Ty, o morze
niewyczerpanych gniewów,
ona swem okiem patrzy w jego oczy —
omdlewającem okiem!
Kyrie elejson!
Jej nagie uda drżą,
palcami rozczesuje złoto swych warkoczy
i falą złocistych włosów
osłania jego nagość i pieści, i pieści
ustami czerwonemi bladość jego ust.
Kyrie elejson!
Wężowe jego kręgi opasują biodra
rozlubieżnionej Boleści,
a ona, wyprężywszy swe rozpustne ciało,
nienasyconym oddycha pragnieniem.
Kyrie elejson!
Na łonie jej spoczęła czarna, lśniąca broda
rozpalonego Szatana,
co świat umierający okrył swoim cieniem,
a ona,
w zbrodniczych pieszczot rozdawaniu szczodra,
zamknęła w drżące go biodra,
w nabiegłe żądzą ramiona...
Kyrie elejson!

Mą duszę pali wieczna, niezamknięta rana!
Któż mi lekarstwo poda?
Ojcze rozpusty! Kyrie elejson.
Nic, co się stało pod sklepem niebiosów,
bez Twej się woli nie stało!
Kyrie elejson!
O źródło zdrady! Kyrie elejson!
Przyczyno grzechu
i zemsty i rozpaczy szaleńczego śmiechu!
Kyrie elejson!

Sądź, Sprawiedliwy!
Krusz światów posady,
rozżegnij wielki pożar w tlejącej iskierce,
na popiół spal Adama oszukane serce
i płacz!
Z nim razem płacz, kamienny, lodowaty Boże!
Niech Twa surma przeraźliwa
echem płaczu się odzywa
nad pokosem Twego żniwa...

Dwujęzycznego smoka,
Szatana o trzech grzbietach zwalczył w wielkim boju
archanioł pański Michał i zginął w otchłani. Amen.

I stał się koniec świata... O chwilo spokoju!
Zgasł płomienny głos Proroka,
i wieczności noc głęboka
nieprzejrzaną jest dla oka.

A ja, wygnaniec z Raju, tułacz nieszczęśliwy,
zesłany, aby konać, na te ziemskie niwy,
i patrzeć, jak pod złomem niebotycznej grani
usiadła matka Śmierci, Ewa jasnowłosa,

pieszcząca węża Grzechu, posyłam w niebiosa,
opadłe nad wieczności tajemniczym mrokiem,
to moje wiekuiste, nieprzebrzmiałe: Amen!
Amen!

W umarłych bytów milczeniu głębokiem
słychać jedynie Amen, moje straszne Amen.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Kyrie elejson!

Przedemną przepaść, zrodzona przez winę,
przez grzech Twój, Boże!... Ginę! ginę! ginę!
Amen.
A cóż powstanie ponad nicościami,
gdzie ongi były światy
i Ja, w chęć życia bogaty,
a dziś w umarłych postawiony rzędzie?

Niech nic nie będzie!

Amen!

Bo cóż być może, jeślim ja zaginął?...

Na wszystko mrok nicości nieprzebyty spłynął —

Amen.

SALOME

O przyjdź!
O boski przyjdź proroku!
Salome ciebie woła z płomieniami w oku!
Na tę słoneczną miłości polanę,
pomiędzy żądz rozkwitłe czarodziejskie zioła
Salome cię woła!
O przyjdź!...
Salome, kłęby włosów rozwiawszy miedziane,
niby wieków pożaru krwawiące się łuny,
w złocistej harfy uderzyła struny
i śpiewa...
O przyjdź!...
O przyjdź, proroku blady!
Ogień żywy obleje twe liliowe skronie,
Ogień żywy na licu-ć przygasłem zapłonie
od mych gorących warg!
Salome, białolistny kwiat Herodyady,
zerwany ręką Grzechu z świadomości drzewa,
w pożarne wieków łuny rzuca pieśń swą krwawą,
swą nieskończoną pieśń —
i woła cię, proroku! Przyjdź!...
W królewskiej komnacie
kazałam służebnicom rozesłać kobierce,
utkane z miękkiej wełny owiec z Galaadu;
majestat ciężkich kotar otula me łoże,
moje łabędzie puchy!.,.
Ach! jak się trwożę!
Jak lęka się ma dusza, aby promyk złoty
nie przedarł się zuchwale do mojej tęsknoty!
By jakiś listek mirtowy,
gdy wiatr z kryjówek gaju ciche szumy płoszy,
nie zadrżał, posłyszawszy stłumione rozmowy
naszej mdlejącej rozkoszy...
Nie wejdzie nikt, prócz ciszy, w ten przybytek głuchy

prócz ciszy i prócz żaru mojego pragnienia,
co mi rozdźwięcza serce,
że śpiewa pieśń, idącą w wieków majestacie
przez świat, ogromny świat —
tę nieskończoną pieśń:
O przyjdź proroku przyjdź!...

Skąpałam swą dziewiczość w przejrzystym marmurze,
gdzie zdrój różanej wody z kształtnych dziobów tryska,
a słońce przez zazdrosne ciśnie się kryształy,
ażeby rozcałować mych biódr marmur biały,
mej piersi oroszone, wpółzamknięte róże...
Kazałam się namaścić maściami wonnemi,
a uśmiech ubezwładniał me rozwarte usta
w przeczuciu nieznanej pieszczoty,
gdy Jezabel, ta płocha, ta dziewczyna pusta,
namaszczająca me łono
i mleczną szyję mą,
szeptała mi do duszy, żem ja winne grono,
najwyborniejsze z gron!
Ach! złocę się w słonecznem, błękitnem przestworzu
i czekam na winnicach engaddyjskiej ziemi,
aż przyjdzie pragnący On,
aż przyjdzie żniwiarz wybrany
i niecierpliwą dłoń
wzniesie po ten owoc złoty...
Ach! przyjdź!...
Na oceany
niewyczerpanych żądz
rzuć swoich żagli płótna
i płyń!...
Ach! przyjdź!...
Czekam na ciebie smutna...

Ach! przyjdź!...
Czekam na ciebie wesoła, radosna
onem pragnieniem, co się spełnić ma,
jako ta kwieciem pękająca wiosna!
Ach! przyjdź!
Powieki mi się kładły na przepastne głębie
moich senliwych ócz,
gdy gdzieś, na dnie ich, wielkiem, jak za krańcem świata
nieogarnięta oceanów toń,
kąpały się obrazy, rozkoszne, jak woń,
płynąca z Raju, gdzie — brat zabił brata!...
A były-ć w swej rozkoszy zabójcze, jak śmierć,
co na tę misę rzeźbioną
rzuciła mi w swym szale lubieżnym twą skroń,
owitą w włosów krucz,
ociekających krwią...
Ach przyjdź!...

Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

O ty kochanku mój!
O mój jedyny kochanku!
Rozpalę w alabastrach kosztowne oleje,
otoczę światłościami jedwabniste łoże,
z nocy dzień biały stworzę!
Niech tych światłości zdrój
oblewa naszą miłość, by lśniła, jak zorze
konającego dnia!...
O Jezabel, ty płocha, ty dziewczyno pusta!
O Jezabel, przed tobą ma się dusza śmieje
i moje wargi drżą,
moje rozwarte usta!...

Lub zgaszę w drogich czarach płonące pochodnie,
szkarłatem, jak mrok gęstym, łożnicę osłonię,
promieniom gwiazd przystępu w ten kościół zabronię,
niech nasza miłość utonie
w wieczystej, nieodgadłej, niezgłębionej nocy!...
A z tajemniczych uścisków,
gdy dusza twa, proroku, mą duszę pochłonie,
gdy w oczach twych przymkniętych czar twojej Salomy
urośnie w niespodzianej rozkoszy ogromy,
gdy świat się cały zamknie w pragnienia wszechmocy,
a ty gdy cały zginiesz w nasyceń powodzi,
niech się zbawiciel narodzi
lub szatan, co po wszystkie globów widnokręgi
rozepnie wiekuistą, nieśmiertelną zbrodnię!...
Niech płynie głos tryumfu po życia odmętach,
lub jęk i żal, w skazańców wychowany pętach,
niech bije w bramy śmierci swym rozpaczy młotem,
niech dźwiga się po krzyżach, szubienicach, palach,
ku niemym stropom niebios, w chmury czy błękity.
a ty, proroku, niesyty —
ty słuchaj mojej pieśni, nieskończonej pieśni,
rozbrzmiewającej po bezbrzeżnych dalach,
i przyjdź!
Niechaj się łamią potęgi,
niechaj się w gruzy rozpada
ten tron, na którym twórcza nieśmiertelność siada;
ta ziemia i te gwiazdy, słońca i księżyce
niech się rozprysną w mgławice;
niech sen wiekuistości jako sen się prześni,
ty słuchaj mojej pieśni
i przyjdź!
O ty kochanku mój!
O ty jedyny kochanku!...

Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

A o poranku,
o świcie któż mnie budzi całowaniem w oczy?
To on, to prorok boży!
Kto pieści miedź złotawą rozwitych warkoczy
I budzi całowaniem z słodkich snów omdlenia?
To on, to prorok boży!
Któż głowę mą podnosi i do ust przyciska
i znowu ją na puchach jedwabnych położy?
I budzi całowaniem i sen mój przemienia
w rozkoszną słodką jawę?
To on, to prorok boży!
Ach! przyjdź!
Któż piersi me odsłania i z swego ogniska,
z ogniska żądnej duszy sypie iskry krwawe
na moje łono białe,
na moje włosy złotawe,
na oczy, z rozkosznego zdumienia rozwarte,
i budzi całowaniem zdumienie rozkoszy?
To on, to prorok boży!
Któż sen mi płoszy?
Któż sen mi całowaniem płoszy na wiek wieków,
ażebym wieki wieków tuląc twoją szyję
w uścisku drżących ramion i do twego łona,
jak jemioła do dębu, ciałem przylepiona
i duszą, z rozwartemi wciąż śniła oczyma,
że twoją duszę piję,
że twem się ciałem sycę!
Że duszę twą i ciało miłość moja trzyma,
ażeby nie wybiegły za przybytku progi,
gdzie ja, gdzie moja miłość ogniem ogniów skrzy się!
Gdzie ja, gdzie twoja luba, twa droga, wybrana,

twa jedna i jedyna ma swojego pana
i swego sługę w tobie, o luby, o drogi,
o słodki, o wybrany, o jeden jedyny,
o na złocistej położony misie
w czerwieni krwi najdroższej, krwi najkosztowniejszej!
Któż mnie, kochanku,
o srebrnym budzi poranku,
że mogę twoje blade rozcałować lice,
że mogę wyczesywać z włosów krew zakrzepłą!?
Że mogę tą źrenicą, z rozkoszy oślepłą,
spoglądać w twoje źrenice —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!
Że mogę twe powieki rozwierać palcami,
tą ręką, którą krew twa przekosztowna plami,
i patrzeć w twoje źrenice —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!
Jak one płoną ogromnie!
O moje wy służebne! przyjaciółki moje!
Na oścież otwierajcie pałacu podwoje!
Rozsuńcie nad posłaniem oponę czerwoną!
Kochanek zbliża się do mnie!
Uderzcie w lutnie i harfy!
Zatańczcie! niech radosny korowód się złoży!
Przy mnie kochanek mój!
Przy mnie jest prorok boży!
W tym wirze,
w którym ach! wszystek świat wiruje ze mną,
krew cieknie z misy, cieknie strugą ciemną!
Zedrzyjcie ze mnie te szarfy!
Zedrzyjcie drogie powłoki!
Niech krew ta cieknie po mem łonie białem!
Niech się spokrewni z mem ciałem
ten przekosztowny zdrój!
O święte objawienie mej boskiej urody!

Te oczy,
w które wpatrywać się będzie
ten mój kochanek młody,
aż mu się z szału wszystek świat zamroczy!
Ach! przyjdź!...
Te moje włosy miedziane,
w które on rękę zanurzy
i będzie na swej dłoni ich sypkość promienną
z rozkosznym ważył uśmiechem!
Ach! przyjdź!...
Te usta, szkarłatem zlane,
barwami od świtowych ros wilgotnej róży!
Ach! przyjdź!
Te moje piersi drzemiące!
Z parą łabędzi porówna je senną
i potem je pożarem całunków przebudzi,
aż spłomienieją od rozkosznych znamion!
Ach! przyjdź!...
Te biodra, które zamknie pierścieniem swych ramion!
Ach! przyjdź!...
Ach! przyjdź, kochanku, przyjdź!...

Dlaczego głos mój w pustem rozbrzmiewa przestworzu?
Dlaczego mu potężnem nie odpowie echem
głos twój, proroku, by wieścił przemianę
okręgów świata pod mocą
miłości mojej niesytej?
Proroku! niebios błękity
złączą się z ziemią, przed ciebie wezwane,
w tajemnic jeden cud
i ty objąłeś istotę stworzenia,
objąwszy miłość mą!
O! jakie blaski w twoich oczach drżą!

W jakąż muzykę głos się twój przemienia!
Jak rozkrysztala się w srebrnych oparach!
Jak z światów cudotwórczym zlewa się oddechem!
Głos twój, przy moich zająwszy się żarach,
błyskawicami moich żądz brzemienny,
huczący grzmotem namiętnego szału,
który od końca do końca
przenika głębie, moją przepełnione duszą,
wstrząśnie tej ziemi macierzystem łonem
i nowe siły wywiedzie z jej wnętrza.
Z przepaści ciemnie się ruszą
i jutrznie, owinięte obrzeżem czerwonem!
Do boju stanie dzień z nocą;
pomrok ucieknie jak tchórz;
łyskliwe wody zagrają pieśń fal
pod tchnieniem rannych zórz,
pod lubieżnymi całunkami słońca,
które powstanie, rozbudzone głosem
twojej natchnionej, a mnie pełnej pieśni.
O wskrześnij, wiosno, o wskrześnij!
Po łąk kwitnących obszarach
rozpromienieją się rosy,
a ty je strącać będziesz stopy swemi,
przed siebie idąc z głową, wzniesioną w niebiosy,
dumny, że z stworzeń najpierwsza,
że ta najczystsza i ta najgorętsza
na niewolnika wzięła cię swej wielkiej,
swej wszechpotężnej miłości,
która jest jedną na niebie i ziemi,
która stworzyła te jutrznie, te zorze,
te słońca i te rosy słoneczne kropelki
i to rozkwitłe zboże,
uginające przed tobą swe kłosy...
Las się rozszumi, a ty, o proroku,

jeden na ziemi i niebie,
słuchać go będziesz i, idąc przed siebie,
wciąż zasłuchany w tę szumiącą dal,
zgłębisz tę głębię szumu,
ujrzysz w nim duszę Salomy
i śpiewać będziesz jej chwałę,
że była przedtem, nim w wierzchołkach drzew
ten tajemniczy zaszeleścił śpiew...
Przezemnie, przezemnie przenikniesz wieków ciemnie
i rozsłonecznisz to, co legło w mroku!
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek pomiędzy obłoku
rozsłonecznioną urodą,
a smaragdową jętką, co nad wodą,
nad szeleszczącą trzciną skrzydły przejrzystemi
lśni w promienistem słońcu
i nad wieczności zagadką przelata,
nad życiem i śmiercią ziemi.
Przezemnie, przezemnie
poznasz, co w gwiazd się kryje milionie,
a onym kurzu, który wiatr południa
wzrusza po drogach i rzuca na świeże,
po burtach rowów i miedzach rosnące
kępy krwawników i śniade szaleje!
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek pomiędzy spokojem
w tę północ letnią, a drganiem powietrza
nad rozległemi rżyskami
w sierpniowy skwar,
gdy słońce stanie na szczycie.
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek między pluskiem ryby,
zostawiającej kręgi na jeziorze,
a wulkanicznym ogniem, który w łonie

rodzącej ziemi płonie
i wre i huczy i lawy
wyrzuca potok krwawy,
że ziemia z grzmotem pęka i walą się miasta
i giną miłości nadzieje,
a w śmierci pełnej pustce rozpacza niewiasta!
I nic nie widzi, tylko oczu dwoje,
płonące ogniem wulkanu!
I nic nie słyszy, tylko wrzące tchnienie
swej rozszalałej piersi!
I nic nie liczy, tylko one chwile,
kiedy na świata mogile
stanie z tą misą złocistą
i krąg szalony zatoczy —
ten krąg radości i bólu...
A ty, o królu Herodzie,
życia i śmierci barbarzyński królu:
w taniec przed tobą pójdzie wstyd dziewiczy,
tylko mi pozwól wziąć
głowę bożego proroka!...
A wy służebne! przyjaciółki moje!
Słuchajcie dźwięków mej harfy!
Zedrzyjcie ze mnie te szarfy!
Niech padnie ta droga powłoka,
niech barbarzyński król życia i śmierci
mojem się ciałem upije!
Niech go powali ten taniec
zapamiętałych żywiołów!
Niech wie, że chociam z popiołów
i popiołami żyję,
przy mnie jest prorok boży,
przy mnie kochanek mój!

Czemu nie idziesz? czemu?

Salome, białolistny kwiat Herodyady,
zerwany ręką Grzechu z świadomości drzewa,
pieśń żywiołów śpiewa...

Przyjdź!

Przyjdź!... Pospieszymy
w miesięczną noc do gaju, gdzie cyprysów cienie
rosną pod srebrnem księżyca zaklęciem
w jakieś tajemne olbrzymy,
że po nich stopa człowieka
kroczyć się lęka...
Ale odemnie trwoga jak daleka,
gdy twa powiedzie mnie ręka,
gdy przy mnie Salomy wybraniec
z księgą tajemnic, w której zapisano
w spełnienia rano,
co między cieniem cyprysu,
a między krągiem księżyca
zmieściło wielkie spełnienie...
Albo się wspniemy na stromość opoki,
przeszywającej obłoki,
i mając głębie mórz u naszych stóp,
opanujemy los świata...
I wielkie zbiorą się rzesze,
przyjdą mocarze i króle
z swojego życia zawrócą się dróg
i wszystkie skarby rozsypią przed tobą,
byś był, jak oni,
byś się w ich ubrał purpury
i na ich tronach siadł
i z niebotycznej rozkazywał góry,
byś opanował miecze i lemiesze
i dzierżył je do końca niezliczonych lat.

Byś serca z łon królewskich wydzierał skrwawione
i w swojej mocy
na misy je rzucał złociste!
A ty nad życia żałobą
i ponad życia radością,
nad jego blaskiem i wonią,
nad jego nocą i dniem
podniesiesz swą prorocką, niedosięgłą wzgardę
i uderzywszy dłonią
w pomarłe głazy twarde,
że dźwięk wydadzą krwawy,
a dotąd niesłyszany w istnienia obrębie,
rozpoczniesz wieścić sprawy,
będące ponad istnieniem,
nad tem, co się mieści,
w rozkoszy czy boleści,
między cyprysu cieniem,
a krągiem srebrnego miesiąca.
A morze, nad bezdenne wychyliwszy głębie
swą rozwichrzoną, niepomierną głowę,
na której każdy włos,
srebrzystą pianą zlany,
dźwiga wieczności głośne oceany,
słuchać cię będzie z poszumem,
co najgłośniejszy ból światów przygłuszy!
Lecz ponad morza szum
pójdzie ten głos,
który się wyrwie z twej duszy...
Lewiatan się ruszy
i oczy swe globowe z zdumienia otworzy
i paszczę, która chłonie wieków straszny żer,
do twej wyciągnie Salomy.
Pragnie ją pożreć, że twemu wieszczeniu
dała tę wielką moc,

która nad wszystkie idzie Lewiatany!
Ale w szatańską noc,
gdy błyskawice i gromy
z krzykiem owijać będą swemi wstęgi
i żreć swoimi ogniami
wieczysty byt,
ona płomiennym mieczem swej potęgi,
która ci duszę rozżegła
do wieczystego płomienia,
odetnie głowę potwora
i na złocistej ją misie
przed tobą rozkosznie złoży,
o ty cyprysie,
cień rzucający olbrzymi!...
O ty proroku boży!
O ty kochanku mój!...
Ach przyjdź!

Czemu twe oczy umarłe tak płoną
w konającego dnia zorzę czerwoną?
Przyjdź!
Libijczyk, królewskiego strzegący pałacu,
śmiał ku mnie sięgnąć swem okiem!
Zakradał się z wieczora pod białe me ściany,
aby, z westchnieniem głębokiem,
zobaczyć twojej wybranej
ten obnażony cud,
ścielący się na miękkie jedwabiów dywany,
pomiędzy rozsunięte miłości osłony,
na łoże płonących żądz.
Ach! przyjdź!
Libijczyk do przybytku wejdzie nieproszony,
westchnieniem miłość mą kupi,

Na jego czaszce trupiej
me rozżarzone położą się ręce!
Do jego czarnej brody
przylgnie ten dziwny kwiat,
który w pożądań niweczącej męce
zabójczym mieczem wykwita
z mej twarzy młodej —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną
w cichej bladości na tej misie złotej!
Ach! przyjdź!...
Przyjdźże z z tym głosem bożym,
który rozbrzmiewa w świątyni
nad lud ten tłumny,
o marmurowe łamie się kolumny
i o sklepienia odbija się gromem
i jehowiczne łoskoty
na całopalne rozlewa ołtarze!
Libijczyk zwiędłoczoły opuści z mym sromem
mojego domu próg...
Ach! przyjdź!...
Salome cię woła...
Salome, kłęby włosów rozwiawszy miedziane,
niby wieków pożaru krwawiące się łuny,
w wieczystej harfy uderzyła struny
i śpiewa —
i wzywa cię proroku: przyjdź! ach! przyjdź! ach! przyjdź!
Weź mnie do swego kościoła!
W ręku trzymając palmy,
zerwane z wiosennego zmartwychwstania drzewa,
nucić będziemy psalmy,
wielbić będziemy Boga,
jako jest jeden Bóg,
który miłości pragnienie
w twoją Salomę wlał.

Mirę będziemy sypać w trybularze,
do ognia dokładać drew,
Niech Abrahama spełni się ofiara!
Niech głowa bożego proroka,
który ten zrodził śpiew,
ten śpiew wieczysty,
spocznie na misie złocistej!
Albo wszechmożny podniesiemy bunt!
Podważym świątynny mur —
niech runie u naszych stóp
wraz z Bogiem, który w piersi najprzedniejszej z cór
zbudził rozpaczy głos,
ciemny, jak grób,
rozbrzmiewający nad wielką nicością,
idący w zorzę czerwoną
konającego Żywota,
nad temi oczy, co tak strasznie płoną!...

Miso wybrana! o miso ty złota!
wieczysta struno mej harfy!...

Ach! przyjdź, proroku, przyjdź!...
A wy, o moje służebne,
zedrzyjcie ze mnie te szarfy —
i tańczcie... i tańczcie!... i tańczcie!...

Miso wybrana! o miso ty złota!...

PEDAGOGICZNA Biblioteka Wojewódzka 33619 w Białymstoku

KSIĘGARNIA POLSKA ◊◊◊ (B. POŁONIECKI) WE LWOWIE
UL. AKADEMICKA L. 4

WŁASNE WYDAWNICTWA

K. h.

BRANDES JERZY. *Henryk Ibsen* . . . 2·—
D-mol. *Symfonia jesienna* . . . . . 1·50
— *Thème Varié* . . . . . 1·—
FREDRO AL. *Pisma.* 5 tomów w oprawie 12·—
GORZYCKI K. Dr. *Zarys społecznej historyi państwa polskiego* . . . . . 6·—
w oprawie . . . . . 7·—
KASPROWICZ JAN. *Miłość.* Z illustracyami E. M. Liliena i E. Okunia . . . 6·—
w ozdobnej oprawie . . . . . 8·—
— *Moja pieśń wieczorna.* Poematy . . . —
— *Salve Regina.* Poematy . . . . . —
— *Album współczesnych poetów polskich 1863—1898.* 2 tomy w ozdobnej oprawie 10·80
NOSSIG ALFR. *Jan Prorok,* opowieść na tle galicyjskiem z 1880 roku, w dziewięciu księgach . . . . . 6·—
NOWACZYŃSKI ADOLF NEUWERT. *Małpie zwierciadło.* Satyry . . . . . 5·—
Pieśni Anekreonta . . . . . 2·—
POE ALLAN EDGAR. *Morderstwo na rue Morgue i inne nowelle,* z wstępem Karola Baudelaira »Poe, jego życie i dzieła« tłumaczył W. Szukiewicz . . . . . 3·—
PRZYBYSZEWSKI ST. *Na tym padole płaczu* . . . . . 2·—
— *Dzieci szatana* . . . . . 4·—
— *Dla szczęścia* . . . . . 2·—
— *Taniec miłości i śmierci.* I. Złote runo. II. Goście . . . . . 2·—
— *Złote runo.* Dramat . . . . . 1·40
— *Goście.* Epilog dramatyczny w 1 akcie . —·80
— *Nad morzem* . . . . . 3·—
— *Homo Sapiens.* I. Na rozstaju. Powieść 3·60
II. Po drodze. Powieść . 3·60
III. W Malstromie. Pow. 3·60
SŁOWACKI JULIUSZ. *Dzieła.* Pierwsze krytyczne wydanie w 4 tomach, w oprawie 12·—
— *Listy.* 2 tomy, w oprawie . . . . . 9·—
STAFF L. *Dzień duszy.* Poezye (W druku).
— *Mistrz Twardowski.* Pięć śpiewów o czynie, z ilustracyami E. Okunia . . . . 6·—
w oprawie ozdobnej . . . . . 8·—
— *Sny o potędze.* Poezye . . . . . 2·60
SZEKSPIR WILLIAM. *Dzieła.* 10 tomów po cenie zniżonej . . . . . 15·—
w oprawie . . . . . 20·—
WAGNER RYSZARD. *Latający Holender.* Opera. Tłumaczył Teodor Mianowski . —·80
— *Walkirya.* Pierwszy dzień z trylogii: Pierścień Nibelunga. Tłumaczył Teodor Mianowski. Treść muzyczną skreślił Dr. N. Hermelin. Z dodatkiem muzycznym na 6 stronnicach . . . . . 1·50